



# ASPIRACJE

publikacja

## GRUPY MŁODYCH AUTORÓW

Oddział dla Dzieci i Młodzieży MBP  
ul. Staszica 6, tel. 6888023 w.28  
was@biblioteka.tarman.pl

wybór i opracowanie wierszy

**ZBIGNIEW MIROŚLAWSKI**

opracowanie graficzne

**ANDRZEJ HENRYK TRYBULSKI**

rysunek na okładce

**MAGDALENA JADWIGA TRYBULSKA**



WYDAWCA

**MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA**  
im. Juliusza Słowackiego  
33-100 Tarnów, ul. Krakowska 4  
tel. 014/688-80-23/4 tel/fax 622-20-93  
e-mail: mbp@biblioteka.tarman.pl  
www.biblioteka.tarman.pl

Numer 9/44/ „Aspiracji” poświęcamy w szerszym zakresie prozie, gościnnie publikujemy wiersze Izabeli Iwańczuk ze Słupska, m.in. za której udziałem nasze wiersze gościły na łamach biblioteki „Śladu”. Izabela przygotowuje kolejny, trzeci już zbiór wierszy, tym razem pt. „Lunatycy”. Z poczty pantoflowej i zza kulisowych „przecieków” wiemy, że to świetne wiersze, o czym wszyscy czytelnicy obecnego numeru mogą się przekonać! Niestety nasz poprzedni numer nie był najlepszy poetycko. Trzeba z pokorą zgodzić się z napływającą krytyką. Omówić mankamenty. Może wrócić do publikacji recenzji prezentowanych utworów? Obecnie publikują: Zuzanna Abrysowska, Urszula Banaś, Monika Chytróś, Gabriela Dulian, Beata Korabiowska-Żyrkowska, Zbigniew Mirosławski, Mariusz Mitera, Michał Piętniewicz, Dariusz Romanowski, Maciej Smagasz i Lidia Szafrńska.

Prozę do obecnego numeru przygotowali: Ewa Kałucka, Zbigniew Mirosławski, Jerzy Reuter i Dariusz Romanowski.

Zamieszczamy także komunikat jury konkursu prozatorskiego.

### Protokół

z posiedzenia jury konkursu ogłoszonego przez Grupę Autorów „Aspiracje”, działającej przy Miejskiej Bibliotece Publicznej im. Juliusza Słowackiego w Tarnowie.

Konkurs pod tytułem „MOJA MAŁA OJCZYŻNA – Tarnów 2007”, obejmował swoją tematyką twórczość prozatorską. Przedmiotem konkursu było opowiadanie. W konkursie wzięło udział 36 uczestników, którzy przedstawili do oceny jury swoje prace, zgodnie z regulaminem.

Jury w składzie: Jerzy Reuter – pisarz, Zbigniew Mirosławski – poeta, wiceprezes Rady Głównej SAP, Ryszard Zaprzalka – literat, dziennikarz, na posiedzeniu w dniu 15 grudnia 2007 postanowiło:

Przyznać jedno specjalne wyróżnienie i pięć równorzędnych nagród „Bilet do antologii” następującym autorom:

Wyróżnienie specjalne i „Bilet do antologii”:

Anna Piliszewska „Rozmowa z Krzysiem” - Wieliczka

Nagrody „Bilet do antologii” otrzymali:

Ewelina Kałucka „Czerwony tulipan” – Tarnów



Maria Fortuna „Hanna” – Kraków  
Ewa Kopsik „Ewko” – Wiedeń  
Barbara Ludwiczak „Sachmet” – Tarnów  
Izabela Kawczyńska „Może być Tybet” – Łódź  
Wszystkim laureatom gratulujemy!

Spotkanie pokonkursowe odbyło się w lutym 2008 roku.

Tarnów 15 grudnia 2007  
Przewodniczący jury  
Jerzy Reuter

W obecnym numerze publikujemy nagrodzone opowiadanie Eweliny Kałuckiej „Czerwony tulipan”, ponadto Jerzego Reutera „Fermentację”, odcinek 14 dziennika Zbigniewa Mirosławskiego „Dzień za dniem”, Dariusza Romanowskiego „W kręgu twórców Kłósów” rozprawę historyczno-literacką.

Gratulujemy koledze Reuterowi publikacji w lubelskim „Akcencie” nr 4/110/ z 2007 r. trzech opowiadań: „Skarb”, z cyklu „Okna” i „Wesele Papugi” oraz we wrocławskiej „Cegle” nr 10/07 i „Kurierze Galicyjskim” nr3/08.

Redaktor Kajetan - Cierń

Tarnów - czerwiec 2008

## Izabela Iwańczuk

### "Z TOBĄ"

połamali skrzydła masz dwumiesięczny spokój  
brakuje ci ich jak rąk  
gdy będziesz wysoko i nowe  
obejmiesz kwiaty ukrzyżują cię ptaki

### "LETNI"

o słońce dłuższy jest sen  
noc otwiera cię na przestrzał  
przeblýsk smuga łzawe wrzosowiska oczu

\* \* \*

pijemy wodę z rzeki lete  
ścielący się mityczny pastelowy śmiech  
i lekko meandrująca mleczna kometa  
w ostatniej chwili rozkładamy ogi  
tańczy dla nas księżyc pierrot

### "ATRYBUTY"

albo Pegazy albo Arabcy  
dwie odmiany jednego gatunku  
zdarza się zostajemy na  
granicy odpinając sobie skrzydła  
lub wzajemnie podgryzając korzenie

neutralni obojętni czyści swoi  
nagrodzeni kostką mdłego cierpienia

jedna śmierć nie odpoczywa  
szykuje swoją starą strzelbę  
na kolejne udane polowanie

kosa -  
ostatnio trzyma się życia

\* \* \*

całujemy noc  
na gwiazdy zarzucamy sieć  
jeszcze jeden ruch i oszukamy lunę

Boże  
oddal od nas gwiazdozbiór dnia

\* \* \*

nie było ciebie tam gdzie  
niewinność weszła promieniami lipca  
płosząc myśli wśród aniołów  
topiąc blaski gwiazd i księżyców  
wszystko pachniało niebem lecz  
nie było tam ciebie szedłeś  
do mnie nie dotykając ziemi

„DOM POETY”

bez zapowiedzi często pojedynczo lub  
parami odwiedzają pulsujące pięknem żywe  
kwiaty słów wtedy taki dom  
przestaje być domem nawet jeśli  
bardzo go przypomina poeta zaprasza  
do środka pozwala im się  
rozgościć sam zaś siada blisko  
pieca czy kominka przy kowadle  
jak przy stole i zaraz  
sięga po swój wysłużony młot  
bo wie że gwiazdy wierszy  
dobrze jest kuć póki gorące

## Zbigniew Mirosławski

\* \* \*

„Sztuka jest dla mnie przede wszystkim zwierciadłem idei”  
Adam Myjak

Naturalnie ułomne,  
niby rzymskie głowy  
- zwierciadła idei:  
torsy, figury i szkice,  
wszystko to istnieje,  
powołane do życia  
z pasji prawdziwej.  
Nowy kanon:  
blizn, szram i zranień  
jest maską przywdziewaną.  
Brazy, stiuki, kamienie,  
pamięci przestrzenie  
- wszystko nieprzypadkowe,  
lekko poruszone,  
niemą rozmową  
pomiędzy rzeźbiarzem  
a czasem przemijającym  
w formę zaklinanym,  
w formę dziką, spaloną,  
rozdartą w o k r z y k u.  
Stąd całkiem nowy wyraz,  
nowej, twórczej fali,  
co gnę się pod naporem  
kolejnych, z oddali  
napływających szybciej  
niżli okamgnienie,  
nie jest, lecz ciągle staje się...  
natchnieniem.  
Jest szczeliną w materii,



dla dłoni podatną,  
palcami utraconego wzroku,  
kiedy zgasło światło.  
A rzeźby – ludzkie znaki  
są symbolem napięć:  
skłonów, gestów, upadków  
i wzlotów nierzadkich  
od struktury topornej  
ku myśli skrzydlatej.

\* \* \*

**Tadeuszowi Rumanowi**, lotnikowi dywizjonów 301 i 305, po 1945 r., tak jak Feliks Topolski, twórca malarskiego pamiątnika XX wieku pozostającemu na emigracji.

Pod mostem Hungerford  
przy stacji Charing Cross,  
gdzie pluszczą szarej Tamizy fale,  
swoisty memuar stworzył  
Feliks Topolski, malarz.  
Przybył do Wielkiej Brytanii  
po strasznej wojnie światowej,  
gdy eskadry lotnicze  
trwały wciąż w pogotowiu.  
Rysował te młode twarze,  
zachował ich miny,  
pozy i gesty bojowe,  
jakie niejeden przyjmował.  
Do dziś są tacy sami:  
w pilotkach, kurtkach skórzanych.  
A potem, gdy los tak zdarzył,  
trzeba było pozostać  
- wrastał w kraj rysunkami,

globalny pejzaż kreował.  
Plejada osobowości:  
Wielki Duch – Gandhi, Mandela  
i nawet Albert Einstein  
w jego pracach są znowu  
gośćmi brytyjskiej królowej.  
Daumier by z nim spacerował  
długimi nadbrzeżami,  
spoglądali by razem  
na mieszczan, lordowski majestat,  
Big Bena i Trafalgar Squar,  
gdy po nim się tłum przemieszcza.  
W szkicach unieśmiertelnione:  
sylwetki sędziów,  
George Bernard Shaw, Winston Churchill,  
William Golding i reszta,  
symboliczne nazwiska dla  
XX stulecia.  
Są jak hausty powietrza:  
murałem, graffiti, freskiem  
jakich czas żaden nie zetrze.

## **Zuzanna Abrysowska**

### **„RAMADAN”**

Allah akbar  
niesie się po placach, zaułkach  
oczekiwany niecierpliwie okrzyk,  
po kolejnym dniu postu -  
upragniony wieczór.  
Allah akbar  
ciemność zapadła  
pełna ożywczych woni,  
zjemy, wypijemy, zapalimy,  
na dziś koniec postu.  
Allah akbar  
Koran objawiony.

Maroko, 2007r.

### **„MAROKO”**

Na wybrzeżu białe grzywy fal  
wdzierają się w ląd i zastygają  
białymi miastami przybranymi w zieleń,  
posypanymi fioletem, szkarłatem, żółcią  
powojników, sukulentów, bugenwilli,  
piasek plaży piętrzy się w fortece,  
w kamienne bastiony z groźnymi armatami  
gotowymi do strzału.

W głębi, z purpurowego granitu gór  
wyrastają czerwone miasta;  
nad wijącą się palmową zielenią oaz,  
w stary Atlas wtapiają się małe osady  
w tonacji umbry, ochry, sjeny  
jak kopce zsuniętych kamieni.

Na końcu świata,  
w słonecznej pustce Sahary,  
niby zatrzymany w locie nietoperz,  
brązowieje namiot nomadów.

Maroko, 2007r.

### **„W PRZESZŁOŚĆ”**

Stygną piece pozbawione żaru,  
wiatr rozwił czarne dymy  
płonących pestek oliwnych.

Pod zimną pięścią rynku  
ginie kolorowa ceramika.  
Czasem jeszcze serce jej zadrza  
arabeską linią, rozbłyśnie barwą,  
nim stanie zamarłym i zimnym  
ludzi i pieców wspomnieniem.

Maroko, Safi, 2007r.

### **„RÓŻNE OBLICZA PIĘKNA”**

Stoi, żylasty, wysmagany wiatrem,  
w cieniu szarej płachty  
zawieszanej na drzewie,  
na poboczu górskiej drogi.

Kilka butelek, słoików  
z bursztynowym płynem  
i puste stoki porośnięte  
kulistymi kępami kaktusów.

Pod żółtym turbanem  
twarz smagła, wysuszona,  
wyrzeźbiona z tej ziemi,  
pofałdowana jak góry.

Szeroki uśmiech odsłania  
kilka szarych zębów,  
dodaje zmarszczek  
głębokiemu pięknu.

Stary syn starych gór,  
pszczelarz z AntyAtlasu,  
rocznik tysiąc dziewięćset  
czterdzieści dwa.

Maroko, okolice Tafraoute, 2007r.

## „KICZOWATY DRAMAT”

Piarżystością chropawa góra,  
stępiona wiatrem,  
przyprószona siwizną,  
zraniona czasem  
krwawi czerwienią ran,  
karmin rozlewa się kałużą,  
spływa strumykami,  
znika połknięty  
żałoczną zielenią oazy,  
co rok młoda,  
niema widownia  
zszarzała, zzieleniała,  
sfioletowała trwa  
w biernym oczekiwaniu  
przyszłości.

Maroko, AntyAtlas, 2007r.

## Mariusz Mitera

### \* \* \* gotyka

ubrana we wszystkie barwy mroku,  
siedząca przed monitorem komputera,  
z tomikiem poezji, rozkoszuje się wyimaginowanym  
subtelnym zapachem sztucznej róży,  
romantycznie zagubiona w przepelnionym  
godzinami szczytu tramwaju,  
pewna ? nieśmiała przygląda się innym pasażerom  
zza woalu czarnych długich włosów.

### \* \* \* opętanie

smutku zły duch  
zawładnął myślami,  
złymi podszeptami  
podpowiada nie ? dobre rady,  
destrukcyjne pragnienia,  
we mgle zabłądził  
zdrowy rozsądek,  
nie ? przyjaciółka Depresja  
z fałszywym uśmiechem  
namawia mnie na spacer  
po spróchniałym wiszącym moście.

### “2 pi r”

srebrny krążek na mrocznym niebie,  
jakby według matematycznego  
wzoru na koło,  
uporządkowany symbol chaosu,  
furii i obłędu,  
srebrzysty przyrząd magiczny  
do wykreślenia granic  
szaleństwa.



**Urszula Banaś**

**„ĆMY I WAMPIRY”**

wampiry

wysysają walkę z żył

ciepłe ciało wplata się

w gałęzie snu,

w letargu opada dłoń

Ich nocny trans

trwa, nie ma jutra ani wczoraj ani dzisiaj

ćmy

rozzszarpują cząstki słońca

żywią się ciepłem a ciała

opadają jak zeschnięte liście

Straceńczy trans

trwa, jest tylko dzisiaj

Jest tylko dzisiaj

24.02.2008

**Michał Piętniewicz**

**„PRELUDIUM DO GŁOSU”**

strząsałem z siebie dużo sierści

jestem na nią uczulony i to bolało

wszystkie żarówki poszły spać

jedna jest nawet w niebie martwa

nie mogłem zasnąć przez serce

albo mi się wydawało że mam atak

a to tylko na najcieńszej wiatru gamie

nie usłyszałem nic więcej prócz głosu

mówił podążaj za drogowskazem

stoi wśród drzew na opuszczonej drodze

wyszedłem a tam ludzi pełno jak w barze

dusiłem się tańczyłem nie dotykałem choć byłem

na stoliku stało jedno opuszczone piwo

pomyślałem że trzeba z nim pogadać

dookoła mnie szły wolne piosenki i przytulone pary

myślałem że kocham albo mi się wydawało

dzisiaj w nocy oswojone świerszcze będą grać w kominie

## Maciej Smagacz

Jutro rano

Jeśli jutro rano przy wschodzie maślanych bułek  
powiesz: zabijałam bezbronnych ludzi

Umrę ze śmiechu i zabronię włączać telewizor...

Jeśli jutro rano przy czesaniu naszych dzieci

powiesz: odchodzę z innym mężczyzną

Pójdę do pracy rozbawiony i nie kupię więcej kolorowych  
pism...

A jeśli jutro rano przewrócą się wszystkie drzewa

a wszystkie ptaki zapomną na czym polegają skrzydła

wiem, że przy tobie znajdę sad

wiem, że twoje słowa dotrą na czas

wiem...

Kraków, 22.12.2007

## Monika Chytróś

„PRZYJACIELE?...”

Wszyscy, Nikt

Jego samotność, Nasza obojętność

Jedno drzewo, niszczących rąk wiele

-przyjaciele...

## Lidia Szafrńska

„MOWNA STRUKTURA ZWYCZAJU”\*

Brak jest okazji  
do rozmów  
pradawnym zwyczajem,  
z chęci opowiedzenia siebie,  
jak choćby  
przy darciu pierza,  
czy łuskaniu fasoli,  
gdy ręce nie wadziły myślom,  
myśli rękom.

Więcej  
hodowano gęsi niż trzeba,  
więcej sadzono fasoli,  
by dłużej słowa  
krążyły z ust do ust  
nie napotykając granic.

Teraz  
mówią:  
same do siebie,  
same za siebie,  
nadają sens samym sobie,  
nadużywają siebie samych  
w medialnym szumie  
masowym zwyczajem,  
a nie są w stanie  
opowiedzieć człowieka,  
drugiemu człowiekowi.

\*/ Wiesław Myśliwski – w wywiadzie dla Polityki Nr.17/18 2006r.

Wiesławowi Myśliwskiemu  
**Beata Korabiowska-Żyrkowska**

\* \* \*

cisza  
pustka  
wrzask  
chaos ogólny

nic  
ktoś  
my  
znak szczególny

nagle  
och!  
ach!  
dziwnie się zachowuję  
...  
siadam w ciszy zegarów,  
rymuję

**Gabriela Dulian**

„KOLOR”

Zamknij oczy.  
Czerń podziel na odcienie.

Nikt nie widzi więcej.  
Powstały granice,  
by czerń nazwać “jestem”.

„DO MISTRZA”

Sierpień znaczy umarły  
Mistrzu. Oni mówią, że jestem arogancka!  
Mistrzu, słyszysz. Ja się s-t-o-c-z-y-l-a-m! Słyszysz?

Joker: Złotko, a masz w co wierzyć?  
Gabrysia: Mistrzu! Gdzie jest Bóg? Mistrzu gdzie jest mój Bóg?  
Mistrzu?!  
Pan Joker klepie mnie leniwie po ramieniu z szyderczym uśmiechem  
na twarzy. Cicho odchodzi.

Mistrzu! Unikasz mnie.  
Mistrzu, nie widzę nigdy twych rąk, które miały leczyć moje paranoje.  
Filip: Gwiazdy mrugają do mnie.  
Gabrysia: Popatrz, noc ma więcej barw niż dzień. Gwiazdy...  
seledynowe, czerwone, żółte, pomarańczowe, fioletowe. Popatrz!  
Patrz,  
Kochany...  
Filip: ...  
Gabrysia: Tak niebo malował Van Gogh.  
Filip: Van Gogh widział inne niebo  
Gabrysia: ... ale te same gwiazdy...  
Mistrz: Dopóki żyjesz – żyjesz we śnie. Niech nikt Cię nie budzi, bo  
życie popsuje...  
Gabrysia: Mistrzu, sądzisz, że sami tworzymy własne sny? Mistrzu?  
Mistrzu!? Mistrzu!

Widzisz Mistrzu, mam enigmatyczne spojrzenie! Ha!  
Mistrzu? Dlaczego do śmierci pozostanę tajemnicą?

**Dariusz Romanowski**

**„DO KOLEJNYCH STROF”**

W Tobie się urodzić  
Żyć umrzeć i zmartwychwstać  
Podnieść się i upaść  
I znowu się podnieść  
Hydrze skoczyć do gardeł  
Lub z muzami w płasach  
Oddać się zabawie  
Byleby do reszty  
Nie postradać zmysłów  
W świecie dopowiedzeń  
I nazwanych zdarzeń

**„NIE JESTEM POETĄ W DOMU MOIM”**

Nie jestem poetą  
W domu moim  
Tutaj wszędzie  
Raczej tylko proza  
Kto? Kogo? Dlaczego?  
Po co? Co dalej?

Proza w szafie  
Na dywanie  
Na suficie  
Proza w lodówce  
Na ścianach  
Na meblach  
W codziennych dialogach  
I niecodziennych monologach

Nie jestem poetą  
W domu moim  
Tutaj wszystko  
Raczej tylko proza  
Co? Gdzie? Kiedy?  
Za ile? Ile jeszcze?

Proza na krześle  
Pod oknem  
Pod drzwiami  
Proza na stole  
Na kanapie  
Na ławie  
W każdym czasie  
I o każdej porze

Nie jestem poetą  
W domu moim  
Tutaj wszystko i wszędzie  
Raczej tylko proza  
Tutaj nigdzie ja  
Tutaj po mnie nic

# PROZA

*„ Stary i ślepy harfiarz z wyspy Scio przyszedł nad brzegi Morza Egejskiego, a usłyszawszy z wielkim hukiem łamiące się fale myślał, że szum ów pochodził od zgietku ludzi, którzy się zbiegli pieśni rycerskich posłuchać. Oparł się więc na harfie i śpiewał pustemu morza brzegowi: a kiedy skończył, zdziwił się, że żadnego ludzkiego głosu, żadnego westchnienia, żadnego pieśń nie zyskała oklasku. Rzucił więc harfę precz daleko od siebie, a te fale, które śpiewak mniemał tłumem ludzkim, odniosły złote pieśni narzędzie i położyły je mu przy stopach. I odszedł od harfy swojej smutny Greczyn nie wiedząc, że najpiękniejszy rapsod nie w sercach ludzi, ale w głębi fal Egejskiego Morza utonął.”*

*J. Słowacki w liście do Z. Krasieńskiego, 9.07.1839 r.*

Ewelina Kałucka

## CZERWONY TULIPAN

Kwiaty wieczności (tytuł roboczy)

Jest niczym więcej, jak sobą, kiedy stawia szklanekę na brzegu stołu, by po chwili ją strącić i patrzeć jak drzazgi szkła rozpryskują się w metaforę destrukcji świata. I bada każde szkiełko latarniami oczu i jak przez lupę draży swe linie papilarne zdumionym wzrokiem, jakby patrzył po raz pierwszy. A potem długim odłamkiem jak skalpelem robi zamach na skórę i we wnętrzu swej dłoni maluje ostrym pędzlem szkarłatne drogi do wolności niczym Salvador Dali. To surrealista. Powiesił w oknie czerwone zasłony i nigdy ich nie rozsuwa.

Teraz zawsze ma w pokoju scenerię wnętrza żył, a ten krwotok pomieszczenia jest mu nieprzerwanym strumieniem przyjemności.

Ciemnia fotografa jest jedyną przestrzenią, na której porusza się w sposób wprawionego wojownika na polu bitwy. Nieustanny balans w tańcu z obosieczną bronią. Tu go nikt nie pokona. Za to przestrzenie za oknem kaleczą go, światło oślepia, szarość atakuje. Jest kretem i tylko w swej czerwonej norze jest bogiem.

Bogiem jest twórcza wola człowieka, a pierwiastek kreacji jest odciskiem na wszystkim, co robi, jedyną wolą, jaką posiada.

Kiedy krawędzie obramowań wizji, którą uwidocznili na dłoni zaczynają pęcznić i wypełniać się szkarłatem patrzy oczarowany życiem, które bije z ręki i znajdując ujście wymyka się spod wszelkich karbów i zamkniętych obiegów, po których się poruszało.

Przystawia dłoń do ściany i nie odrywając jej zaczyna kreślić bezwiedne kształty, slajdy obrazów. Biała ściana upstrzona śladem życia przestaje być martwa, jarzy w półmroku mieszkania, które jest jedną wielką ciemnią, od kuchni przez łazienkę po pokój, od sufitów, do podłóg przez ściany.

Odchodzi wolno w tył, staje, przekręca głowę w bok, kontempluje.

Nie zwraca uwagi na ściekanie krwi z wciąż otwartych ran, na znaczenie tropu drogi, jaką przebył, na nasiąkanie dywanu...



Ustawia obiektyw, błysk rozcina półmrok. Prostuje się, ogląda efekt poczym ponownie się nachyla do aparatu, migawka zaczyna trząść raz po raz.

Pomiędzy krótkimi rozbłyskami na ziemię wypadają gotowe zdjęcia, jedno po drugim, a każde lepsze od poprzedniego. To już nie są fotografie.

To wycięte w wieczności wizje gwałtowne jak spazm i porażające geniuszem. Paraliż. Przestaje, bo wrażenie mija. To już tylko krew na białej ścianie. Nic więcej. To ulotne wrażenie dzieła, przecucie chwili zamknął na zawsze na paru zdjęciach zanim zdążyło umknąć w otchłań przeszłość bez powrotu. To już koniec.

Zbiera te zasuszone kwiaty wieczności, wrzuca do koperty, na której coś bazgrze czarnym mazakiem i wrzuca do kartonowego pudła. Koperta niknie wśród tłumu takich samych, tak samo podpisanych cyframi - zapewne datami kopert.

Dopiero teraz udaje się do łazienki, wkłada dłoń pod strumień zimnej wody i przygląda się jak krew wiruje w szalonym tańcu z wodą i obie przepadają gdzieś wśród płataniny rur.

Unosi głowę i patrzy w lustro. Kim jest człowiek patrzący na niego jednym okiem z pod ukośnej grzywki?

Bandażuje dłoń i wraca do lustra. Przez chwilę mierzą się wzrokiem: on i ten po drugiej stronie łazienki - gdziekolwiek to jest.

Nagle uderza mocno dłońmi w powierzchnię lustra, które przez moment sprawia wrażenie, że w odruchu protestu spadnie.

Ale nie spada. Opierając dłonie zbliża twarz, bada, po czym nabiera dystansu, krok w tył. W miejscu, gdzie zostawił ślad oddechu pisze coś palcem - lecz bardziej nic jak coś. Już prawie zapomniał oo krwi na ścianie, o szklance Tamte obrazy blakną, są jak sepia.

Liczy się co będzie teraz, tylko to.

Co uda mu się wydobyć tym razem z pod powiek pozornych zjawisk?

To tylko nuda - jak teraz - czyni go odkrywcą załamań rzeczywistości, potajemnych przejść w świat wizji. W świat ciemni. Pomiędzy zasuszone kwiaty wieczności. Celebrowanie rzeczy martwych - mówi - jest domeną ludzi, gdy tymczasem trzeba celebrować emocje, bo to one finalnie kształtują życie. Po czym wybucha śmiechem.

Stawiając świat do góry nogami zyskuje nową percepcję postrzegania go: sposób poruszania astronauty na Księżycu.

Nie uciska go żaden konwenans postępowania, więc czyni, co chce ze swoim życiem, jak to wyraził "na swojej drodze skądś dokądś".

Dokąd?

Już nie odpowiada.

Nie wybucha śmiechem.

A skąd ma wiedzieć, dokąd?

Zresztą, po co mu taka wiedza?

Nie szuka ocalenia, bo to już nie ten wycinek historii.

Nie szuka stabilizacji i cichych miasteczek z ich zakurzonymi drogami i rutyną.

Stagnacja

jest jednym ze słów wykpionych ze słownika wolnego ducha.

W ogóle nie szuka czegokolwiek.

Interesują go tylko emocje w swej czystej, porażającej postaci, nie ulegając złudnym formom, poza pozornymi treściami.

Czyste, ludzkie emocje.

Wszystkie.

I tylko je stara się zamknąć na swoich fotografiach.

Zatrzymać emocje to jak wstrzymać świat.

Nie interesują go same zdarzenia i obrazy, raczej to, co ukazują pod wizualną powłoką.

Nie troszczy się o swój wygląd odbity w opinii publicznej, bo nie ma głębszych i bardziej pochopnych osądów od tych, które ona feruje.

W jego przekonaniu ludzie mogą go co najwyżej cmoknąć.

A, i to przy dobrym wietrze.

Nie troszczy się o prozaiczność życia, bo dla niego proza występuje tylko za oknami ciemni, a on nie jest częścią przestrzeni poza ciemną, a więc proza nie ma na niego żadnego wpływu.

Jak dla niego proza też mogłaby go cmoknąć - gdyby - rzecz jasna - mogła!

Nie troszczy się o wartość przesłania jego życia, bo nigdy nie czuł się zbawcą, nie odczuwał potrzeby wyjścia na dach i nawoływania ludu owiec i baranów, że błędzą.

Bo nie troszczy się, że błędzą.

Nie troszczy się o rzeczy, które go nie dotyczą, zagadnienia społeczne, problemy świata, które nie są jego problemami.  
Nie troszczy się o ruch planet, bo nie ma na niego wpływu.  
Nie troszczy się o odrastanie włosów i paznokci, bo na to też nie ma wpływu i to także mogłoby go cmoknąć, gdyby...etc.  
Nie troszczy się o nic, które będąc niczym nic nie traci, więc o co się troszczyć? Ale to nieprawda, że jest nieczuły. Jest neurotycznie nadwrażliwy. Bardzo wątpliwy w swej strukturze psychicznej, bardzo kruchy emocjonalnie. Istna szklanka. Pewnego dnia skończy jak ta, którą postawił na krawędzi stołu. On płacze ale tylko w samotności nocą w pustym oknie jarzącym się wzgardliwie papierosem.  
Wzdycha z głębi wnętrza, jakby w ten sposób mógł coś uratować...  
Jak do tej pory nie udało mu się, a wzdycha naprawdę głośno.  
Każdego dnia popełnia samobójstwo, gdy rzuca się z łóżka na podłogę, gdy wieszka się na słuchawce telefonu, gdy wbija nóż w chleb, gdy topi szklankę w zlewie. Ile w tym śmierci, w codziennym pozornym geście. "Z życia wysiadę jak z pociągu w ruchu, akurat przed samą stacją, by zmieścić i c h poczucie estetyki i aby mój czyn opacznie nie został zrozumiany jeszcze się obelżywie zaśmieję".  
Nie wiem czy to prawdopodobne. Wiem, że oryginalne.  
Zresztą wszystko, co robi jest nader oryginalne i niektórzy mają mu to za złe, bo z reguły indywidualistów się nie lubi, ponieważ:  
a. nie rozumie się ich  
b. zazdrości się im  
c. inne rzadsze powody, mniej lub bardziej osobiste  
Najlepszym jego przyjacielem jest właśnie jego dziwny światopogląd maksymalisty - ekstremisty, skrajny indywidualizm i estetyzm.  
Nie musi się obawiać o zdradę przyjaciela, bo wie, że nikt go nie przyjmie. W jego oczach świat ukształtowany jest na kształt muszli klozetowej wypełnionej po brzegi, a nawet przelewającej się w nadmiarze człowiekiem. Pochylony nad wciągającą go czarną otchłanią obiektywu bez trudu odgaduje właściwą odległość, bo wciąż bardziej oddalony jest o czas, niż o przestrzeń od wstawionej w cudzysłów dachówki, która ma mu spaść w najbliższym czasie na głowę. Dlaczego ma? A no pewnie, dlatego, bo tak sobie wymyślił, a skoro tak sobie wymyślił, to tak z całą pewnością będzie.

A potem z nadmiaru nierzeczywistych zdarzeń cuci się do rzeczywistości policzkując sam siebie lub innych, którzy oddają mu z nawiązką.

Wie, że o życiu naprawdę nie wie nic i dobrze mu z tą nie wiedzą.

O jeden balast mniej. Wciąż chodzi prosty, bo nie przygina go do ziemi chęć bicia czołem o posadzkę przed kimkolwiek, ma zdrowe stawy i kolana, bo nie klęka przed nikim, podczas, gdy inni prawie z klęcek nie wstają. Nie wydaje też fortuny na buty, bo nie ma zwyczaju szlifować nimi salonowych parkietów - bo nie jest ścierą podłogową. Szczęście, że ma krótkie paznokcie, bo w kieszeniach zaciska mocno pięści, aż kostki bieleją - cóż? Taki nawyk.

Gdyby nie miał krótkich paznokci, to miałyby zakrwawione kieszenie.

Wkomponowany w krajobraz otwartego okna nie patrzy w dół, na nudną ulicę, lecz nasłuchuje i wciąga w płuca świeże spaliny. Zgrzyta zębami, wystrzela z palców niedopałek papierosa, który odbija się od bloku naprzeciw i dotykając ziemi, nim umiera kaszle popiołem i resztką tytoniu. Blok naprzeciw jego jest tak, blisko, że gdyby się uparł mógłby znaleźć się po drugiej stronie, w tamtym mieszkaniu. Ale, że się nie upiera, nadal jest tu. Ręka wędruje do kieszeni i tam zaciska się w pięść. Wszystko można rozpieprzyć - mówi przez zaciśnięte zęby - stworzyć mało co. Za życia mogą naumyślnie zabić tysiąc ludzi, a nie przywrócić życia jednej przypadkiem rozdeptanej mrówce. Ze złością szarpie zasłonę, by ukryć się przed widokiem świata, lecz z taką siłą, że zasłona spada razem z karniszem.

Teraz już zupełnie wściekły ciska przez okno karniszem, który trafia na przeciwległy balkon uderzając w szybę. Momentalnie wychyla się wścibską głową sąsiadki, patrzy na karnisz. Pyta głupio:

- Czy to pańskie?

- Moje? Przecież leży na pani balkonie - odwraca się i znika we wnętrzu mieszkania.

Potem zakleja okno czerwonym prostokątem kartonu tylko po to, by ta z naprzeciwnika nie zaglądała mu jak sypia na nie rozesłanym łóżku, a już nade wszystko, żeby nie oglądała tapety ze zdjęć, które porozwieszał na ścianach. Jego sztuka nie służy niczyjej brudnej uciech. Sparaliżowany siedzi pogrążony w swym fotelu z czerwonym obiciem i boi się poruszyć.

Na środku pokoju - jak zwykle - czuwa Czarne Oko gotowe, aby w każdej chwili mrugnąć, bluznąć światłem, oślepić i zamknąć powiekę z utkwionym pod nią obrazem.

Dziś to wyczekiwanie wydaje mu się obraźliwe, to ciągle trwanie, napięcie nerwów, nieludzka zimna kalkulacja. Mieszkanie oddycha.

Oddychają okna i drzwi, ściany nasłuchują, sufit i podłoga chcą go objąć w ciasne kleszcze uścisku. Zamach.

Chcą mu odebrać wolność. Chcą go stłamsić, wcisnąć w szablon, ustawić w szeregu, w niekończącej się kolejce do Wielkiego Szarego Nigdzie. Chcą, by stał się wzorem na tapecie - jednym z tysiąca takich samych plam, tak drobnych, że można je rozpoznać pod żarówkę z nosem przy ścianie - a i to z trudem.

Meble suną po podłodze - centymetr po centymetrze - niezauważalnie. Ale on wie, że się zakradają. Chcą go złapać i założyć cugle, odebrać osobowość, zetrzeć na pył i zdmuchnąć w nicość. I wtedy jak gwałtowny spazm pojawia się o n a.

Przed oczami widzi jej obraz jak zdjęcie. Dlaczego właśnie teraz?

Wydaje mu się, jakby to było całe miliardy lat świetlnych temu, tysiące galaktyk, miliony zdjęć. Zasuszony kwiat w pamięci. Kobiety nie znalazły miejsca w jego życiu. Nawet ona. To wspomnienie jest jak ukłucie igły. Małe, a bolesne - taka mała ranka, przez którą sączy się ona, a raczej to, co z niej pozostało. Zapach perfum, parę zdjęć, powiew sukienki, włosy na poduszce. Jesteśmy samotni...wiecznie sami. To samo kiedyś powiedział jej, ale ona nie umiała tego zrozumieć. Nie rozumiała też wielu innych rzeczy. Nie chciała pojąć, że każdy z nas jest samotną wyspą, że nasz kontakt zawsze ogranicza się tylko do telefonów, autobusów, statków samolotów, które kursują między wyspami. Że sięgając nawet głęboko w drugą osobę nigdy nie da się przekroczyć tej bariery samotności, tego metra lub dwóch w obrębie drugiej osoby, który stanowią myśli, motywy, przeżycia.

To coś czego nie można dotknąć. Ona chciała wkroczyć w niego w szpilkach, chciała zagarnąć każdą jego myśl, odczucie, wrażenie...

Może pospolite pary i związki rzeczywiście opierają się na węszeniu, pasożytnictwie, zabijaniu się, ale on nie mógł pozwolić sobie na pospolitość, a tym bardziej nikomu - nawet jej - by pomniejszała go,

odbierała sobie samemu. Nie mógł jej na to pozwolić. Wtedy pozwolił jej odejść. Wypuścił ją z rąk. Podchodzi do okna i zamyka oczy.

Jak wtedy kiedy stanął sam nie wie czemu na jego krawędzi, a ona zjawiała się nagle stając za nim i objęła go w pasie...

Trzyma go. Czuje jej delikatny uścisk w pasie pełen wewnętrznej mocy. Ciepły wiatr omiata mu twarz, szepta zdania bez słów.

Jej głowa mości się na jego plecach, jej oddech grzeje. W końcu robi krok w tył i schodzi. Staje już w pokoju, ale dalej się nie odwraca. Z rękami na framugach i głową opuszczoną czeka, milczy. Potem odwraca się, szuka jej ramion, których nie znajduje, ona uchyla się. Nagle staje się odległa jak przestrzeń za oknem. Odpływa, zapada się w fotel. Patrzy dziwnie milczącym wzrokiem. On czuje jakby po chwilowym wynurzeniu znów zalewał go zimna woda. Pograżony. Woda w ustach ma słony smak. (dotknąłem kiedyś miłości - miała gorzki smak... - powie kiedyś, gdy będzie już o wiele za późno, by jeszcze żałować). Komentarz (jeden z wielu):

Taki to panie przez okno skacze, łeb o ścianę tłucze albo i żyły podcina... Odurzony czym pewnie, bo by bzdur nie wyczyniał, ino do roboty się wziął... Taki to, panie kocha na odległość, jakby wkoło mało bab było... Mówią, że wrażliwy, że poeta, a po mojemu to zwykły wariat, a on... ... a on i tak po swojemu.

Pije, żeby zabić to w sobie. Konkretnie zabić ją w sobie.

Nie powinna się była zjawiać nigdy. Nie powinna była pozować do jego zdjęć - swoją drogą najlepszych, jakie kiedykolwiek zrobił. Nie powinna być zapachem kwiatu, a właśnie nim była. Pachniała pięknie i odurzająco, lecz krótko, dopóki kwiat nie zwiędł.

Pamięta miłość w jej twarzy wbija głęboko po rękę, gdy wierzyła, że mogą być ze sobą. Tak. Kochał ją i wie, że czasami ona też kochała jego. Puste miejsca po ich wypalonych gwiazdach są nadal niczyje.

Pięści fotografa wędrują do kieszeni i swoim odwiecznym zwyczajem zaciskają się, aż słysząc trzask pękających szwów.

Właśnie przypomniawszy sobie tego Francuzika, z którym wyjechała.

Przyprowadziła go tu, do jego królestwa, jego ciemni, (jakim prawem?) - beztroska i roześmiana, pachnąca jak zawsze wiatrem i szykującą się podróżą. Odebrał to jak policzek wymierzony prosto w

serce. Już wtedy wiedział, że go zostawi, przysłała się usprawiedliwić, wykupić się, uspokoić go, że Francuzik dobry - nie skrzywdzi. Naprawdę - myśli - nie mogłem wtedy nie napluć mu w mordę. Miał maślane oczy, stabilną sytuację finansową i cały ten swój Paryż z pocztówek wypisany na twarzy. Z naszych rozmów o niczym wynikało zawsze tylko jedno - że wiemy więcej o gwiazdach daleko, niż o sobie samych. A niechby się tak utopił ten Francuzik w tej swojej Sekwanie razem z nią! Niech idą oboje na dno oglądać Paryż od środka. Tak. Kochała mnie i ja czasami też kochałem ją. A mówił, że nie ma miłości... A tymczasem? Papieros zapalany drugim papierosem, zmieszane oddechy w powietrzu, dwa różne odciski palców na jednej szklance. Czy zgubił ich ogólny brak wspólnych tematów? Nie palenie tej samej marki papierosów? Niechęć do jednej pościeli, toalety i szczoteczki do zębów? Odraza do kłótni o to, jak wyciska się pastę do zębów - od końca czy od środka? Nie. Zgubiła ich chęć ingerencji, sięganie do dna duszy drugiej osoby, zagarnianie osobowości, nieświadome narzucanie swej woli. Nie zgubiły ich różnice, które pragnęli zachować, nie obszar nietykalności, jaki sobie pozostawiali, nie to co sprawiało, że byli od siebie odmienni. Zgubiło ich to, co chcieli ujednolicić, uwspólnić, zuniwersalizować zamiast indywidualizować. I ta niezrozumiała chęć stanięcia ponad wszystkim w życiu drugiej osoby. Tego nie wolno oczekiwać od nikogo, a zwłaszcza już od artysty. Tego nie mógł jej wybaczyć, że chciała być ponad jego sztukę, ponad ciemnię, ponad nim samym. Wie, że wybrał dobrze, a nie ma dnia by nie żałował, że nie wybrał inaczej. W odwrotnej sytuacji zapewne byłoby to samo. Taka natura człowieka - tęskni do tego, czego nie ma, co utracił, bądź, czego mieć nie może. Tęskni, bo nie tęsknić nie może, bo w tej tęsknocie tkwi jego człowieczeństwo, bo tęsknota jest jedyną rzeczą żywą, której nie da się zabić, bo to coś, co jest wpisane w nasz kolor oczu. Zresztą, gdyby nie tęsknił nie miałby dokąd zmierzać. Wspomina.

- Więc nie zatrzymam cię, żadną siłą i żadnym pocałunkiem - bardziej stwierdza niż pyta.

- Nie zatrzymasz - przerwa, chwila wahania w głosie, "brak pewności, jakie to dla niej charakterystyczne" myśli on - nawet byś nie próbował - jej wyrzut, znów. Zbyt często.

- Nie - potwierdza - bo wiem, że i tak nie zmieniła byś zdania.

"Jaka pewność u niego, jakie to dla niego charakterystyczne" myśli ona.

- Rzeczywiście. Nie zmieniłabym nawet, gdybyś próbował mnie zatrzymać...

- Dlatego nie próbuję.

- Cynik - słowo "wypada" z jej ust, dokładnie tak to brzmi, jakby słowo spadło z jej ust i wylądowało na kołdrze między nimi dwoje i błyszczało jak nóż. Ona odwraca się do ściany, spotyka niedostępny mur jej pleców, tył czaszki z odsłoniętym przez włosy tym miejscem, które łatwo zgruchotać. On także odwraca się do niej plecami. Leżą tak, choć żadne nie śpi, czekając, aż drugie powie coś, co ich pogodzi. Milczą. Dwie wyspy niegdyś bliskie, dziś odsunięte przez gwałtowne fale morza nieporozumień. Czy ta rozmowa miała sens? On powiedziałby "Nie". Ona "Tak". Czy mieli szansę być razem? Siedzi na podłodze wśród rozrzuconych zdjęć, prawie na każdym ona: uśmiechnięta, zadumana, smutna, rozszłoszczona, po prostu ona. Ach, jak na zdjęciach wszystko pięknie wygląda, jak utrata nadaje wszystkiemu piękna, idealizuje. Patrzy na zdjęcie i prawie zapominał jaka była nieznosna, jak irytowała go, jak drażniła. Nigdy nie była aniołem Teraz stała się nim tylko, dlatego, że odeszła. Odwraca się gwałtownie i kieliszek z winem wywraca się, bruka zdjęcia szkarłatem. Teraz wyglądają jak zbroczone krwią, krwią uciekającego czasu, kropli po kropli z żył krótkiej wieczności, z każdą kroplą bliżej śmierci. Ich własną krwią. Patrzy na swoje dłonie. Jedna wciąż jest zabandażowana, a na ścianie wciąż jest plama, której nie zmył. Na jego duszy też są zaschnięte plamy, których nigdy nie zmyje. A, gdyby tak zabandażować duszę? Zawiesić na temblaku zwicniętą i poczekać, aż się zrośnie, zagoi tak, by nie urażyć jej na ciągły ból przy poruszaniu? Niestety z duszą nie ma tak dobrze. Boli go świat, a na ból świata nie ma lekarstwa, żadne hokuspokus, czary mary, kolorowe pastylki - wie, bo nawet pytał lekarza.



Oko na wszechświat milczy.

Zbyt jest rozbity w sobie i musi się uporządkować, nim zacznie porządkować wszechświat w wycinki skradzione wieczności.

"Mam ręce - mówi - stopy i cała ta reszta balast, który mnie utrzymuje gdzieś w okolicach życia. Poza tym jest nieskończoność, którą tylko umiem schwytać na pary kliszach, nie pozostawiając nic dla siebie, która tylko przepływa przeze mnie, a której nigdy nie posiadam, bo jestem z kruchej materii, mieszkam w porcelanowej powłoce i tylko patrzeć, jak powłoka pęknie. Ciebie też mam (mam?) tylko przez błysk momentu, tak krótki w wieczności jak migawka. Trzask!

Ta zapalka już nie zapłonie". Unosi butelkę z winem w geście toastu.

"Twoje zdrowie moja nie moja wiatrowłosa - oby ci prędko zbrzydł ten Paryż. Prędzej niż mnie życie bez ciebie.

Wie, że każdego dnia czeka, że może ona powrócić, że stanie w progu z wyciosaną skrucą na twarzy, z rękoma opuszczonymi luźno wzdłuż ciała, w nieświadomym geście rezygnacji i powie: pomyliłam się.

Z drugiej strony wie, że gdyby rzeczywiście wróciła, nie przyjmie jej (postara się przynajmniej. Hm!).

Odpowie: "Więc z nas dwojga chociaż ja się nie pomyłę" i zamknie jej drzwi przed nosem (może jednak...? Nie, nie zamknie).

Jak ma żyć, tak rozdwojony w sobie? Tak było przecież jeszcze z nią, tak było zawsze. Kiedy jej nie było - chodził od ściany do ściany i nie mógł pracować. A potem przychodziła, zagarniała całą uwagę i znów nie mógł pracować.

Jego rozpacz była rozpaczą jego fotografa, bo jego człowiek nigdy przed i nigdy już po nie zaznał tyle radości. Teraz fotograf nie narzeka, natchnienie spływa na niego jak hostia, lecz jego człowiek jest cieniem dawnego siebie - nie ma zbyt wiele radości, dużo śpi, mało je. Co poradzić? Nie da się zadowolić wszystkich, od stołu zawsze ktoś odchodzi głodny - czysty przypadek kto.

Albo raczej ten, kto ma najsłabszą wolę przetrwania i najkrótsze ręce.

Życie nie jest sprawiedliwe i dlatego jest życiem. Gdyby było sprawiedliwe, byłoby sprawiedliwością.

A sprawiedliwość nie jest cechą ogólnie ludzką, raczej pewnych jednostek posiadających podniesione morale - ale o tych coraz trudniej. Ciągłe wymierają rzadkie gatunki ptaków, motyli i ludzi.

Zresztą on sam nie należy do nich, nigdy nie czuł się Statuą Wolności, Konstytucją Praw Człowieka, szalą wagą - wszystkim po równo.

Kiedyś może... ale to dawno temu i już zapomniane i nieważne.

Dostrzegł, że choćby rozdarł się nie uszczęśliwi ludzi, bo ich szczęście leży tylko w ich rękach i jeśli są nieszczęśliwi to tylko z własnej winy.

Dlatego zajął się sobą, bo tylko sobie jest w stanie pomóc (o ile jest w stanie w ogóle pomóc komukolwiek), bo każdy człowiek jest wyspą (już to kiedyś mówił), każdy jest sam, samotny zawsze i nie ma na to wpływu ilość przyjaciół, znajomych, ludzi wokół.

Ludzie są i nie ma ich, przychodzą i odchodzą, a on musi żyć ze sobą, nie może odejść od siebie. Kiedyś powiedziała mu: "Zazdroścę ci, ty możesz odejść ode mnie - ja nie". Tak. Teraz rozumie, teraz zazdrości sam sobie, ale nie jest mu jej żal, (co nie znaczy, że nie tęskni do niej). To musi być straszne być nią, bez przerwy, bez chwili wytchnienia, bez możliwości dezercji. On się od niej uwolnił. Ona nie może się od siebie uwolnić. Ta myśl sprawia, że fotograf uśmiecha się.

Każda moja rana ma kształt jej ust. Każde oparzenie za sprawą jej dłoni. Każdy wyrwany włos policzony i wpisany na ogólny rachunek strat. "Nie pozwól bym umarła w świecie wiecznej ciemności" to są jej słowa. Na nic nie musiał pozwalać czy nie pozwalać - sama o to zadbała. Wzięła wiatr i poszła. Ale on wciąż ma sztukę. To jest jak nieprzejednany strumień, który nie zatrzyma się dopóki nie wypłucze wszystkiego, co tkwi w nim, a co musi wyjść, by żyć, by on mógł żyć i nie oszaleć.

A co ma ona?

Francuzika, pieniądze, widok na Paryż, pełen brzuch i brudną satysfakcję z urlopu gdzieś na jakiś wyspach i niedzielnych dodatków do gazet - wspaniały kwiat cywilizacji.

Więcej? Ależ to tylko blichtr, poza społeczną, a pod spodem zakamuflowany strach ten sam od początku ludzkości, niezmienny. Strach przed samotnością - nie miłość, strach przed śmiercią - nie życie, mdła stabilizacja - nie bezpieczeństwo.

Zbytek rzeczy i słów, ról i póz - deficyt uczuć prawdziwych, emocji, dzięki który jesteśmy żywi. Przystarzały brud nie do zmycia.

Sprzedawała się za pozycję społeczną, za duży dom, za ustawionego męża. Sprzedała się za kromkę chleba - całą swą dumę i cały honor niezależności poniosła w świat i tam utraciła. Strach - śmierdzący strach przed przyszłością, "będzie, co ma być" powiedział kiedyś i za wszystkie pieniądze zrobił wystawę swych prac.

Nikt ni przyszedł. A on? Patrzcie! Żyje dalej i co więcej, ma się dobrze. Ale żyje! Jest żywy jak deszcz, niedojrzały jak zieloność trawy wiosennej, wciąż u źródeł życia, czerpiąc soki ziemi i żywiąc się nimi. A ona żywi się strachem, ze strachu przed śmiercią umarła.

Paradoks? Paradoks życia. Ona, jego blady kwiat pachnący rosą i wiatrem, pełną łąką, daleka od problemów i głupoty pospolitych kobiet - teraz kurwa. Zwykła kurwa, jakich pełno. Nawet gorsza - one płacą ciałem, tylko ciałem - ona sprzedała duszę. Więc Nic, wielkie Nic, jakich jeszcze więcej. Ma swego mężulka, swój mały, szary domek, swój samochód, swego fryzjera, swoje przyjaciółeczki - takie same nic, jak ona - swoją pozycję, z czasem francuskie nazwisko i dzieci. I za to wielkie, tłuste nic zapłaciła całą swą osobowość - oj, przepłaciłaś, moja droga, przepłaciłaś. A wszystko przez żaloszny, śmierdzący strach. "Mam nadzieję - myśli - że żal i wstyd nie pozwala ci spać".

Samotny teraz jak ostatni liść na drzewie szuka, szuka i sam nie wie czego. Wie tylko, że musi szukać i ta wiedza zupełnie mu wystarcza.

Wszystko jest poezją, literaturą, jeśli się umie czynić z życia metaforę, alegorię. Jego życie jest impresją. Nic go nie obchodzą ani rzeczy, ani zjawiska, zdarzenia - raczej te ledwo uchwytnie wrażenia, które pozostawiają, jakieś subtelne nastroje, zapach, pojedyncze słowo, pejzaż psychiczny, który malują. Kruche stany świadomości.

On nie chce rozumieć. On chce przeżywać.

A potem jego myśli - jak zawsze - zmieniają tor, jakby przez jakiś dziwny zakręt do tej, którą postradał. Nie ogarnęła mnie - myśli - nigdy nie ogarnie. Mój ból od dzieciństwa był krzykiem, moja radość zawsze była ciszą. Lecz nie ciszą martwą - nie przepełnioną strachem nocną ciszą, lecz ciszą przedświt. Ciszą, w której milczy człowiek, w

której słyszać szum kropel deszczu opadających na liście i śpiew zmarzniętych ptaków świtu, ukrytych wśród jesiennych liści.

Nawet nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo zabolą go ta "zdrada", ta jej ucieczka. Pieśń rozpaczy. Lecz nie tej szarpiającej, tej, która domaga się zemsty i rozlewu krwi. Rozpaczy cichej, łagodnej, która płynie i która się nie kończy, bo nie ma ujścia.

Rozpaczy, która jest daremnym trzepotem skrzydeł małego, uwięzionego ptaszka.

Dokąd powiał wiatr - myśli - który słyszał mą tęsknotę?

Jesteś strzałą, którą wypuściłem z mego łuku, bo przecież nie mogłem trzymać napiętej cięciwy cały czas, jak nie można trzymać walącego się dachu bez końca.

Kiedyś trzeba powiedzieć sobie dość. Tylko, kiedy? Kiedy naprawdę jest dość? Nie dla mnie byłaś... I ja nie dla ciebie. Dla mnie - jak pisał jakiś poeta (jaki?) - dla mnie przestrzeń, tak wielka, że się w nią nie zmieszczę. Ironia. Życie to nieustająca ironia boga, który gasi słońce, jak my lampkę i cieszy się widząc, jak w ciemności potykamy się o własne stopy. Wieczność - to mówię ja, który żyję jak ty w krótkim przebytku między złudną sekundą nadziei, a nagłą podeszwą śmierci. Wieczność - przecież to ja staram się wciąż uchwycić i wciąż łapiąc już ją za rąbek sukienki wymyka mi się, jak ty - innemu w objęcia.

Wydawało mi się, że nie umiem kochać, zwłaszcza czegoś z poza mojej ciemni, a teraz czekam przecież. Tak lekko dotykają mnie dni, biegają nie wiadomo gdzie, a ja nie staram się ich zatrzymać, jak nie starałem się zatrzymać ciebie.

Skoro pozwoliłem odejść tobie - tobie wiatrowłosa - to teraz nie mam prawa zatrzymywać dla siebie czegokolwiek.

Moja tęsknota jest tęsknotą planet na obrzeżach układu słonecznego...

Jak nigdy nie szedłem dokądś, tak teraz tylko czekam.

Dotknąłem kiedyś miłości - miała gorzki smak, lecz tak wyraźny, że nie sposób go zapomnieć. Samotny samotnością tej godziny - oto ja - fotograf i moje krwawienie myśli.

Siedzi pogrążony w fotelu i z głową opuszczoną, wspartą na dłoniach. Palce czepiają się włosów i burzą je.

List. Krótkie słowo. Tak krótkie jak nóż. List może boleć tak samo, jak boli nóż. Bardziej, bo o jedną literę dłużej. Podnosi kartkę i czyta jeszcze raz:

"Jestem tak szczęśliwa...jest taki dobry...Paryż piękny...a ty?"

A ja? To jeszcze jest dla mnie miejsce w twoim pięknym świecie? - myśli z goryczą. Jak zwykle chcesz mieć wszystko. Niczego sobie nie odmówisz, z niczego nie zrezygnujesz. W końcu decyduje się wyjąć zdjęcie z koperty. Początkowo chciał je od razu wyrzucić, ale ciekawość zwyciężyła.

Ona w czarnej, kosztownej sukience z batystową apaszką pod szyją, lewą ręką przytrzymuje kapelusz. Kiedyś tak się nie ubierała - stwierdza cierpko. Prawą ręką obejmuje Francuzika, na nadgarstku bransoleta - blichtr. Boli, bo obejmuje czule. Za nimi Wieża Eiffla. UśmiechOna uśmiecha się tak promiennie, jakby była samym słońcem. Ale w jej twarzy coś się zmieniło. Jej twarz nie jest już tak szczerą i otwartą. Przygląda się fotografii z niespodziewanym nawet dla siebie bólem. Samo zdjęcie mało ciekawe - złe oświetlenie, bo mrużą oczy, kiepska klisza i przeciętny aparat, nie wprawiona ręka ucięła ramię Francuzika za bardzo skupiając się na Wieży w tle.

Amator. Ale to ona! Na tym zdjęciu wygląda po prostu jak kobieta - na jego wyglądała jak zjawisko, jak senna wizja... Co jednak nie zmienia faktu, że to ona.

Jak mogła? Po co mu to przysłała?

I nagle wpada w zdumienie, bo na zdjęcie (konkretnie na jej uśmiech) spada kropla. Unosi dłoń do policzka...i nie wierzy. Więc jednak rozpacz. Łagodna czy nie - po prostu rozpacz.

Chowa twarz w dłoń, zamyka się w obiegu swego ciała. Chce czuć własne ciepło - tą odrobinę ciepła, resztę życzliwości dla jego osoby.

I nagle zrywa się w przypiływie niepohamowanego gniewu, ociera twarz i zaciska zęby.

Pisze: "Ja nie szczęśliwy, Paryż nie wiem czy piękny, bo nie byłem, Francuzik "taki dobry" to dupek, czemu jeszcze tego nie zauważyłaś? A ty? Jeśli zdecydowałaś się odejść, to teraz proszę nie decyduj się wracać, choćby listem, czy zdjęciem. Jestem winny, ale przed światem - nie przed tobą!

Wkłada do koperty razem z jej listem i zdjęciem, nie chce tego zatrzymać, bo to by oznaczało, że chce zatrzymać ją.

Po chwili dorzuca kilka zdjęć, które jej zrobił.

Pragnie cisnąć im - jej i Francuzikowi - swoją złowrogą wiecznością w twarz.

Po chwili dopisuje: "P.S. zmiana fotografa nie wyszła ci na dobre".

Zakleja kopertę i pędzi wysłać list.

Nie może odłożyć tego na później. Boi się, że mógłby nie wysłać go wcale.

I znów list.

"...skąd tyle goryczy? Nie mów, proszę o winie - nikt z nas nie jest winny - tak bywa...jesteś mi zbyt drogi, by o tobie zapomnieć...myślałam, że się ucieszysz...Jean (to on - myśli - ma w ogóle jakieś imię?) przesyła wyrazy uznania dla zdjęć, jest skłonny wybaczyć...

Co za brednie! Wstaje i krąży po pokoju wściekły. Chwyta za papier i pisze szybko:

"Widzę, że uwzięłaś się, by zniszczyć do końca, to co kiedyś, dawno było między nami. Pytasz skąd u mnie gorycz? Może stąd, że wino z reguły jest gorzkie i cierpkie, a czyż nie wino właśnie pijecie w y Francuzi? Jeśli naprawdę jestem ci, choć odrobinę drogi (na pewno nie tak jak ta czarna sukienka), to proszę, zapomnij! Francuzikowi powiedz niech sobie wsadzi wyrazy uznania w tą swoją francuską dupę i niech mnie nie rozśmiesza! On wybac mi?! A niby, co? To, że mu w mordę naplułem? A co do nas (nas? Jakich n a s?), nie pisz więcej, bo się nie cieszę z twoich listów - żadne z nas nie jest tu winne - tak bywa..."

Tym razem naumyślnie nie wysłała listu przez dwa dni. Chce wypróbować, jak bardzo go to zraniło. Bardzo. Po dwóch dniach wysłała list bez zmian.

Nie może spać.

Jeszcze tego mu brakowało. Leży i myśli. Gdzie jest teraz? Wśród jakich ludzi? Jakie mówi słowa? Dlaczego miłość przychodzi teraz, kiedy czuje się smutny i wie, że ona jest daleko z kimś innym... To



właśnie jest moje piekło, w którym jestem szatanem. To jest moja ciemnia, moja warownia, moja samotnia... Tu cię kocham - myśli. Noc jest gwiazd pełna - nieprawda - zaprzecza od razu. Odkąd odeszła nie ma gwiazd. Myśleć, że jej nie ma, żałować, że ją straciłem - oto mój los. Cóż, kiedy moja miłość nie mogła jej zatrzymać, mógł ją pozyskać pocztówkowy Paryż - wielki świat, brzydki Francuz. Taak. Krótka jest miłość, a jak długie zapominanie! Niech tylko nie pisze, nie wysyła zdjęć, nie depta tego, co pozostało, nie rozdrapuje zagojonych ran... Zasypia z nadzieją, że ten list ją obraził.

Nie obraził. Przynajmniej nie na tyle, by przestała pisać. Kartka jest pomięta w paru miejscach, jakby pisząc płakała. Dobrze jej tak - myśli z satysfakcją.

"To bolało..." pisze.

Ha! Miało boleć. Mnie też bolało i też...płakałem, zdarzyło mi się płakać, choć nie chciałem... to znaczy... Chociaż nie, to nie tak! Jedna łza nie czyni płaczu! Cholera! Po co się było rozstawać? Żeby pisać raniące listy z Francji do Polski i z powrotem pocztą lotniczą, na obojętne jakim papierze, byle czystym? Może właśnie po to. Może tak jest ładniej, jak w filmie. Tylko, kogo to obchodzi? Nie umieli być ze sobą, a teraz nie umieją się rozstać. Skoro ten sposób nie działa, to spróbuje inaczej. Pisze:

"Byliśmy ze sobą przez mgnienie tak krótkie, jak błysk flesza, lecz czym jest wieczność wobec chwili? Tak trudno się rozejść, ale jeszcze trudniej byłoby teraz powrócić. Byłoby to wszystko śmieszne, gdyby...nie było takie smutne. Jeśli ci to pomoże, to wiedz, że tak nie pokocham już nikogo."

Mam nadzieję, że ten list ją dotknie, że wreszcie zrozumie, że wreszcie pozwoli zapomnieć.

Nie! To jakaś farsa! Kiepski żart! Znowu list. Czy ona nie ma co robić w tym Paryżu? Zniecierpliwiony rozdziera kopertę i wyjmuje kartkę.

O! To coś nowego.

Tylko cztery słowa: "Przebacz! To już wszystko."

Fotograf wie, że ona nigdy by czegoś takiego nie napisała. To zbyt lakoniczne, podczas gdy ona zawsze była zbyt emocjonalna, co nieraz go drażniło. Ktoś za nią stał, liczył słowa, ważył. Francuzik, bo kto? A to żabojad jeden! Najpierw ukradł mu ją, wywiózł daleko, poprzebierał, a teraz jeszcze zabrania jej pisać do niego! Teraz fotograf cieszy się podwójnie i potrójnie, że napłuł mu wtedy w twarz.

Na drugi dzień znów przychodzi list. Już go to nie dziwi. Rutyna. Niedługo będzie miał swojego osobistego listonosza z osobistą torbą listów, a wszystkie z Francji!

Tylko, co tym razem?

"Przepraszam za tamten list, musiałam go napisać, bo Jean zrobił się strasznie zły i zazdrosny, tym bardziej, że piszę do c i e b i e, no wiesz...". Nie, nie wie.

Odkłada list. Nie będzie tego czytał. Ona chce wrócić, niemal pisze o tym między wierszami, już tylko patrzeć jak zacznie układać akrostychy z ukrytym: p r z y j m i j m n i e z p o w r o t e m.

Francuzik okazał się nagle nie "taki dobry", Paryż nie "taki ładny", a wino - wino? Przecież ja nie lubię wina!

Tak. To cała ona. Nie zmieniła się. Zapach wiatru we włosach i rosa na końcach rzęs. Zerwijcie mnie na stawie - myśli - jestem nenufarem.

Zbliż mi - mówi półgłosem do ścian - nieobecność swoją, aż do dna. Niech poczuje ją tak dotkliwie, że bardziej nie będę w stanie i wtedy wróc.

Ściany nie odpowiadają. One słuchają. Zawsze tylko słuchają. Przetrawią każdą informację i nie zdradzą nigdy.

Oto ja - podejmuje po chwili - w żalobie po żadnym życiu, wdowiec po żadnej kobiecie, żaden człowiek.

Fotograf. Mało we mnie tego, co człowiecze. Więcej mam cech wspólnych z mym aparatem. Zresztą ostatnio, to bardziej filozof ze mnie, niż fotograf. Myślę, aż spać nie mogę, śnię i myślę, albo do ścian gadam. Z coraz większym trudem przywołuję rzeczywistość.

Ja - wielbiciel wszelkiego nieba, nie posiadam żadnego.

Przestała pisać.

Albo się znudziła, albo boi się Francuzika. Jak mogła dać się tak zniewolić mężczyźnie? Jak mogła - ona, ta która umiowała wolność - sprzedać ją! Na Boga! Sekwana rzeka jak każda inna, jak Wisła! Taką cenę płacić? A może...może to moja wina? - przychodzi mu nagle do głowy. Może ona Francuzika nigdy nie kochała?

Może chciała go sprowokować, by walcząc o nią udowodnić, że mu zależy? A ja głupi puściłem ją!

Więc musiała odejść. Pamiętam, że jej śpiew ma kolor wilgotnych fiołków. A teraz brakuje mi go - tak bardzo, jak bardzo mnie irytował, gdy tu była.

Zaślepiiony, wpatrzony tylko w ten swój obiektyw, odwrócony stale tyłem do niej - cóż dziwnego, że chciał zwrócić na siebie uwagę?

Cóż dziwnego, że byłem matoł i dopiero teraz to widzę?

Chwilę później siedzi przy telefonie i zagryzając wargi niemal do krwi czeka. Jeden sygnał. Drugi. Odbierze? Trzeci. Nie odbierze. Czwarty, trzask.

- Halo?

To ona! Ten głos - już prawie zapomniał, jak brzmi, przyprawia go to o spazm.

- halo? - pyta niecierpliwie.

Nie śmie się odezwać, ale i nie śmie odłożyć słuchawki. Głuchy, przerywany sygnał. Rozłączyła się. Dziś matoł znów nie będzie mógł spać.

Nieprawda, że była niezdolna.

Nieprawda, że klóciliśmy się rzucając, czym popadło.

Nieprawda, że pewnego dnia skoczyła ze schodów, by mi zrobić na złość.

Nieprawda, że w odwecie chciałem skoczyć z okna, ale liczyłem, że ona zrobi to pierwsza.

Nieprawda, że to nieprawda, bo to wszystko prawda. Ale nawet, jeśli, to co z tego?

Co z tego, że nigdy nie sprząkali?

Co z tego, że każde z nich miało osobną pastę - bo ona wyciskała od końca, a on od środka?

Co z tego, że ona kiedyś wytłukła wszystkie talerze, jakie mieli?

Co z tego, że parę dni później on wytłukł wszystkie filiżanki, jakie mieli?

I co z tego, że potem nic nie mieli?

Nic z tego. Nie umieli żyć ze sobą, nie umieli żyć bez siebie.

Ich wina, że oboje w ogóle nie umieli żyć?

Deszcz.

Deszcz tłucze w jego szyby. Deszcz jest jak litość. Wszystko zetrze.

Jego myśli mokną. Nie może spać.

Grzmi, jakby ktoś zrzucił fortepiany ze schodów. Muzyka burzy.

Uczyłaś ludzi być ludźmi - myśli - słabi mogli się bać, łagodni płakać, fotografowie fotografować, Francuziki - a do diabła z nimi!

Znów idealizujesz. Prawda jest taka, że nie brakuje mi ciebie w życiu, tylko w śmierci. Nie ma ciebie i nie ma mnie kto zabijać, ergo nie walczę - ergo staję się martwy. Jesteś złośliwa - fakt, ale tylko

czasami, głównie przeze mnie. Jesteś pochopna i nie rozważna - ale nie tak, jak ja. Tyle, że ja jestem jeszcze arogancki i beczelny.

Ale nie jesteś kurwa i Nic. Myliłem się. Ty jesteś ty, a ja jestem matoł.

I tak jest dobrze. Amen.

Modli się.

Prochem jesteśmy, będziemy. Ani powietrzem, ani ogniem, ani wodą.

Tylko ziemią. Sobą samym i niczym nadto. I za to - dzięki ci, Boże.

Jest niczym więcej, jak sobą, gdy zapomina zetrzeć krew ze ściany, którą upaprał parę tygodni (miesięcy? Nie wie, bo czas rozłazi mu się w rękach razem z tymi wszystkimi absurdalnymi konwencjami, nie zapłaconymi rachunkami i grawitacją) temu.

Teraz już wsiąkła w farbę i tynk - i nie zejdzie. Macha na to ręką i robi przemeblowanie.

Tu szafka, tam stół i voila! Plama? Jaka plama? Gdzie?

I nagle pod warstwę dobrego humoru wślizguje się niepokój.

Co robi z tyloma zbywającymi mu dniami? Gorzej.

Co robi z dniami, których mu brak?

Ona nie odzywa się już (ma nadzieję, że pobożne życzenie, aby utopiła się z Francuzikiem w Sekwanie nie spełniło się, co do niej, bo

do Francuzika - nie miałby obiekcji). Do niewidzenia! Do niezobaczenia! Jednak koniec...  
Siada na parapecie i czuje się, jakby deszcz padał bez ustanku w jego pamięci.  
"Utraciłem ją jednak, a mimo wszystko żyję, nadal rosną mi włosy i paznokcie, nadal obracają się planety, a słońce świeci tak samo mocno. Tylko ten czas utracony jest płaczem".  
Odeszła, żeby nie wrócić - ot, co. Tylko cisza po niej jest inna.  
Głośna.  
Natarczywa. Jak pukanie do drzwi, które nagle uświadamia sobie, że słyszy od dłuższej chwili. Ociaga się, wstaje i wolnym krokiem idzie otworzyć.  
O!...oto i ona!  
Królowa jego piekieł w całej swej infernalnej okazałości. Tuż za progiem. Dzinsy, bawełniana koszulka, żadnych kosztowności...Uśmiecha się nieśmiało. Oniemiały usuwa się machinalnie robiąc jej przejście, a zatem nieme zaproszenie, na które ona tylko czeka. Wślizguje się do przedpokoju za nim i staje w półcieniu nadal kurczowo trzymając przed sobą walizkę jak tarczę przed nim albo...jakby w obawie, że zaraz będzie musiała wyjść...  
Patrz na siebie i milcz, żadne nie wie, co powiedzieć i co zrobić.  
Nagle zachłysnięci sobą. Nagle onieśmieleni. Zupełnie jakby nieznani sobie nawzajem, jak para dzieci, która spotkała się gdzieś na rodzinnym spotkaniu i w otoczeniu głośnych ciotek i wujków zerka na siebie nieśmiało, spod grzywki w cichym, nagłym dziecięcym zachwycie. Zupełnie jakby nie było tych wszystkich cichych popołudni wypełnionych milczącą pracą i traskaniem migawki (to myśli ona) i żadnych Francuzików (myśli on). Tak, nie zmienił/a się (myślą oboje). Fotograf wyciąga jej walizkę z dłoni i kładzie na ziemi (ach, te odruchy dobrych zachowań!), baczy by nie dotknąć niechcąc jej dłoni. Ona patrzy z zakłopotaniem. Nie wie, czy może go objąć, czy nie - decyduje, że nie - na razie.  
- Jestem - mówi - wróciłam...  
A miał jej nie wpuścić... Milczy.  
Ona rozgląda się z uśmiechem.  
- Widzę, że bez zmian...u ciebie...Jean...skończyliśmy.

On patrzy pytająco, lecz ciągle milczy. Nie znajduje słów. Jak zawsze zresztą, kiedy są mu potrzebne. Stoi z rękami w kieszeniach, ze spuszczoną głową, ma niepewną minę.  
- Bo on...on był naprawdę fajny, poza tym, że to straszny dupek...jak ty, zresztą... Fotograf uśmiecha się. Więc wróciła.  
Stoi w jego przedpokoju. Jest tu, tak jak tego chciał i nadal pachnie wiatrem, nadal tak samo niepewna. Powoli, jeszcze nie zdecydowanie, ale już zaczyna żałować...  
Tak. Jest bez wątpienia tylko sobą i niczym więcej.

Staję osłabiony upałem i mruczę pod nosem zakłęcie: "Sesamie, otwórz się". Jestem jak Ali Baba. Szklane tafle rozsuwają się bezszelestnie i uderzają ze środka klimatyzowanym, chłodnym powietrzem. Zezowaty menel patrzy z nadzieją prosto w moje oczy, ale poznaje chyba swojego, bo opuszcza smętnie wzrok i odsuwa się, robiąc mi miejsce w wejściu. Sezam wieje chłodem i parzy w oczy kolorami opakowań. To wszystko może być moje i częściowo kolegi menela, ale to takie założenie, które nikomu nie szkodzi, a mnie pomaga doczołgać się do następnego dnia. Moje rutynowe obchody zaczynają się zawsze od stoiska monopolowego. Sprawdzam napisy na etykietach. Przyglądam się bacznie, czy komuś tam u góry nie zaszкодził upał i nie podniósł ceny na moją ulubioną nalewkę wieloowocową. Różnie bywa, czyż nie?

Zostawiam kolegę menela i jego bratnią duszę przed marketem, niech tam trwa. Wózek zawsze biorę taki duży i opasły, że ledwie pcham tę kupę drutów. Niech wszyscy widzą, jakie mam zamiary. Smirnoff, Gorbaczow, Dębowa... To nie moje klimaty. Wolę swojskość i przasność, tylko "owoc"! Przechodzę z obojętną miną obok wielobarwnych butelek i udaję, że mam to gdzieś, że mnie to wszystko nie dotyczy. Może pomyślą ludzie, ot przyszedł po karmę dla dzieci, rodzinę ma na sumieniu? Albo kobieta - och...! Kobieta! - Czekaj na zakupy. Gapi się w pusty stół i liczy minuty, kiedy nadejdzie z siatami ciężkimi, przy nadziei. Potem ona do niego się uśmiechnie i stworzy artystyczne dzieło - obiad. Nic z tego! Nie ma tak dobrze pod niebem ciężkim, jak moja dola. Pod niebem ołowianym, jak śpiewał pewien miłośnik nalewek owocowych. Dobrze mu tak.

Mój dom jest pusty jak ten wózek. Pcham go z całą chłopską determinacją, a on rozjeżdża się na malutkich kółkach i ucieka na wszystkie możliwe strony, ale co by sobie ludzie pomyśleli, gdybym z takim malutkim plastykiem pod rękę paradował po krętych uliczkach Sezamu? - Bida! - Tak by mówili! - Niech idzie sobie precz, gdzieś do kiosku małego jak ten koszyczek. Niech nas zostawi w spokoju i nie

drażni swoją pryszczatą mordą. Kij mu w oko! - Może nawet - Chuj mu w dupę! - Jeszcze by, który, popchnął na piramidę puszek z fasolą czerwoną, a potem ochrona i kopa bym zarobił, i do menela, kolegi mojego, na wartę. Mój dom, więc, jest pusty, bez duszy, duszeńki. Bez tego ciepłego, miękkiego i kobiecego, jak rzekł poeta.

- Dzień dobry - słyszę gdzieś z boku cieni, żeński głos.

- Dzień dobry - odpowiadam szczęśliwy, że są jeszcze pocziwcy na świecie - dzień dobry! Jakże dobry! - Dyskretnie chowam do lewej kieszeni kostki rosółowe, drobiowe, bo wołowych nie lubię, zaciemniają kolor zupy - Bardzo mi miło! - Sos cygański do drugiej. Obiad już prawie mam!

- Dzień dobry pani - inny, kobiecy głos się wplątał i zaburzył moją radość - Zakupy, zakupy?

- Wszystko już mam, droga pani, już obiad mam prawie, tylko listka bobkowego zabrakło.

Szlag mnie za chwilę trafi, więc odjeżdżam w stronę warzyw.

- Kozich bobków sobie kup! - mruczę pod nosem. Po co taka przyłazi i humor wysysa? Kto ją tutaj prosił? Przez chwilę byłem na styku obojętności z wiarą w człowieka, a tu masz! Idę po ziemniaki, po wypełniacz.

Jedna marchewka do woreczka i na wagę. Druga w rękawie. Waga zmyślna, bo cenę drukuje. Przylepiam na woreczku równe piętnaście groszy i ukradkiem marchew z rękawa dokładam. To samo robię z ziemniakami. Winogrona konsumuję na miejscu. Niby dotykam, głaszczę soczyste kule, a co chwilę któraś wpada w więzienie moich ust. Gryzę delikatnie, bo ochroniarz czuwa. Czuj duch! Ja też czuвам. Jemu za to płacą, a mi nikt nie płaci. Nikt mi za to nic nie daje. Nawet rentą moją, ciężko zdobytą, kosztem zdrowia, zabrali. Teraz opieka społeczna - taka ich mać - bładz - czasami coś mi kapnie, za to, że tamci już mi nie płacą. Namiastka sprawiedliwości równa się pięćset złotych miesięcznie, czyli renta socjalna. Bieda renta, jak bieda szyb górnik, jak afrykański smutek żyrafy na gołym stepie. Do ziemi za daleko, a górą tylko powietrze.

- Przepraszam pana - wyrывa mnie z zadumy filozoficznej miły głos, - które lepsze? Czerwone czy zielone?

- Czerwone - odpowiadam zaskoczony, - jeżeli już, to tylko czerwone, miła pani. Ja tylko takie degustuję. Proszę spróbować ale powoli, bo mundurowy gdzieś tu krąży.

- Ostatnio przyłapał mnie na cukierkach, taki z niego lis. Powiem panu, że nie mam wstępu na cukierniczy, tak mnie załatwił.

- Ja, moja droga pani, na słodczy mam już od roku zakaz, ale mam inne miejsca, równie pożywne.

Dyskretnie robię klasyczną zasłonę ciałem i przyglądam się mojej rozmówczyni - współpracownicy. Białe spodnie i biała bluzka, a na szyi czerwona apaszka. Coś pięknego! Mała główka przykryta słomkowym kapeluszem, a na plecach, spod kapelusza, wije się blond warkocz. Czuję miękkość w kolanach.

- Leon - kładę rękę na jej szczupłym ramieniu - jestem Leon.

- Zenobia - nie broni się, nie strąca mojej dłoni i odwraca się frontem do mnie - Winogron mam już dość, panie Leonie. Miły z pana człowiek.

- Mili ludzie, pani Zenobio, przyciągają się, czyż nie?

Ona uśmiecha się się słodko, a ja rozbieram ją mentalnie. Odgaduję wszystkie zagłębienia i wypukłości ukryte pod ubraniem. Jesteśmy oboje w wieku tak zwanym nierozbieralnym, czyli w takim, gdzie rozbieranie przed sobą grozi kosmicznym smutkiem i atakiem meteorytów, ale od czego są marzenia?

- Miłych ludzi przyciągają winogrona, panie Leonie. To święte owoce, przystające w całej krasie bogom.

- I boginiom, miła pani Zenobio - wtrącam zalotnie i patrzę jej tak głęboko w oczy, że kamienie miękną. - Zapraszam na dalszą degustację, w inną część Sezamu.

- To ja odstawię swój wózek. Pojedziemy sobie jednym. Czy mogę wziąć pana pod rękę?

- Ależ, pani Zenobio... - Jest w tym zdaniu zaproszenie i radość - "Toś już prawie moja, pani Zenobio" - myślę podniecony i szczęśliwy.

Pchamy wspólnie drucianą klatkę na kółkach, a ja podnoszę głowę i rzucam dumne spojrzenia. Niech widzą opasłe baby i skapcaniali wodzowie rodinni. Oni mają portfele, a ja panią Zenobię. Z manifestowaną odrazą mijamy stoisko mięsne.

- Mięsa nie jadam - wrywa mi się i czuję jak mi łąza do oka podpływa. Robi mi się nieprzyjemnie i wstyd. Tak, nie jadam, ale nie dodaję, że mnie nie stać. Jakże mi przykro!

- Tośmy się spotkali! Ja też z jaroszków! - mówi to z entuzjazmem, ale ja widzę, że nie jest jej radośnie - Czasami jajeczko zjem, ale jedno - dodaje z uśmiechem.

- Jajeczko... Mogę śmiało powiedzieć, że to moja dieta, nawet ulubiona. Zdarza się, że zjadam kilka dziennie - i znowu ta podpływająca łąza. Przecież kilka zjadam na miesiąc. Boli mnie okłamywanie takiego piękna. Pani Zenobia uśmiecha się skromnie, a ja już wiem, że ona wszystko rozumie. Zatrzymujemy się przy stoisku z chrupkami, płatkami i tymi wszystkimi patentami śniadaniowymi. Pani Zenobia robi zasłonę, a ja wywiercam palcem dziurę w opakowaniu. Wyjmuję kilka miodowych kulek.

- Proszę się częstować

- Dobrze, pierwszorzędnny pomysł na śniadanko.

- Robię to często, ale musimy uważać. Ochrona nie śpi. Mogą nawet pobić boleśnie, do krwi, pani Zenobio.

- Chamstwo, panie Leonie. Zupełne zdziczenie.

- Raz mnie złapali na serach. Degustowałem nowość pleśniową. Jak oni mnie zbili! Tak walili pięściami po plecach, jakby sprawiedliwości nie było, a we mnie dudniła wielka pustka.

- Taką pustkę przeżyłam, gdy mnie złapali z przecierem pomidorowym. Na środku sklepu rewidowali... Tylko łyzy i łyzy... Jakże ja pana rozumiem, biedny panie Leonie.

Powoli zbliżamy się do wyjścia. Po drodze jeszcze raz stoisko monopolowe i stróżujący przy wyjściu menel. Pani Zenobia ustawia się w kolejce.

- Coś dla ducha - uśmiecha się do mnie i mruga zalotnie okiem - wieloowocowego!

- Pani Zenobio - oświadczam uroczyście, - jeżeli nie pogardzisz skromnym obiadem i degustacją dobrej nalewki, to ja panią zapraszam. - Słowa usztywniły mnie i poczułem, jak dziwna, gorąca fala zalewa mi twarz. - No, chyba, że ma pani już wyznaczony cel. Może ktoś czeka? Spragniony siedzi w oknie i wygląda za panią? Drżą



mu ręce, słowa wymówić nie może? Przecież ja znam objawy nagłego odstawienia naleweczki, po intensywnej konsumpcji.

- Ależ drogi panie Leonie! Nie odmawiam! Przyznam, że moim zamiarem była samotność, wsparta łykiem czegoś szlachetnego, ale... Skoro pan zaprasza, to ja z przyjemnością. Równie dobrze mogę nadużyć w pańskim towarzystwie.

Pakuję do obszernego worka zakupy. Dwie nalewki, marchewki, kilka ziemniaków. Z dziennego przydziału pozostało równe dwadzieścia groszy, będzie dla menela. Pani Zenobia, tajemnicza i pociągająca, tumaniająca grubym warkoczem, uśmiecha się... Boże! Ona uśmiecha się do mnie!

Sezam rozsuwa lśniące szyby. W wyjściu stoi mój menel i wyciąga rękę. Nawet nie spojrzał na moją towarzyszkę, gapi się prosto w moje oczy. Bez słowa wkładam mu w dłoń malutką monetę. Masz Cerberze swój okup, na szczęście.

- Czy to jakiś pański kolega? - Przystaje moja pani Zenobia i widzę jak rozszerzają się jej oczy. Może jest zaskoczona? Zdegustowana? Przez chwilę zastanawiam się, szukam jakiegoś słowa - wyjaśnienia. Co mam powiedzieć?

- Odwal się! - Ktoś za naszymi plecami podnosi głos - To jest mój promotor! Spieprzaj!

Odwracamy się, a tam mój menel własnym ciałem zasłania drogę innemu menelowi. On broni dostępu do nas.

- Już wiem - uśmiecha się do mnie, słodka Zenobia - pan jest tutaj znany!

\*

Praktyczność mojego obiadu polega na tym, że tuczy tylko w połowie, bo w połowie jest kradziony. Przysłowia są prawdą objawioną, czego dowodem jesteśmy my - ja i pani Zenobia. Wyglądamy jak dwa wysmukłe jesiony z konarami wysuszonych kończyn. Nie puchniemy od ciągłych "degustacji" w Sezamie, ale sytość nie jest nam obca.

Dzisiaj, kuchnia serwuje ziemniaki polane cygańskim sosem, pod bulion z marchewkową wkładką. Dwa dania jak dwa kartony nalewki wieloowocowej. Dwanaście procent, pani Zenobia i ja.

- Mieszkanie moje, pani Zenobio, jest przykładem skromności i artystycznego rozgardiaszu - staram się tuszować ordynarny bałagan. Mieszkam w jednym pokoju, więc wszystko jest poskładane na jedną kupę. Mój dom jest jak piramida. Pełno tu tajemnych ścieżek i tylko znajomość ruchów konika szachowego pomaga cokolwiek odnaleźć. - Ja się już w tym nie mieszcze - dodaje tragicznym głosem - przestrzeń ściska mnie jak imadło.

- To może ja obiorę ziemniaki, a pan troszkę posprząta, panie Leonie. Może powiększy się gabaryt pańskiej przestrzeni?

- Oczywiście, ale niewiele mogę, nie wiele. Tutaj każdy przedmiot ma swoje miejsce. To są organa mojej egzystencji, wszystko tu współgra, pani Zenobio.

- Bardzo proszę...

- Zrobię, co w mojej mocy.

Pani Zenobia wychodzi do kuchni, a ja nogą, jak kijem hokejowym upycham, przesuwam i ugniatam wszystko, co na drodze. Zdzieram pościel z wersalki i wynoszę na balkon, potem składam moją spalnię w fotel, co zwykle czynię raz w roku, gdy ksiądz przychodzi z kołędą. Książki zostawiam. Te małe piramidy, które tworzą tę wielką, jedną i stanowiącą enigmatyczność mojego mieszkania, są jak wizytówka. Tołstoj na Woroszylskim. Jesienin, przytulony do Sylwii Plath. Biblia, centralnie na stole. W niej, pomiędzy kartkami, leżą powtykane dziesiątaki, nabierają świętości, a w jednym, specjalnym miejscu - Pieśń nad pieśniami - leży całe sto złotych. Każdy z nas czeka na swoją "czarną godzinę".

- Sosik już zrobiony, a ziemniaczki przyjemnie bulgoczą! - Pani Zenobia siada za stołem - To może po jednym?

- Oczywiście! To będzie jak aperitif.

Szklanki? Literatki, lampki? Ale skąd? Moja kuchnia jest jednoosobowa i kończy się na fajansowym kubku z jakiejś promocji, jednego kieliszka i kilku plastikowych szklaneczek.

- Chyba pójdę do sąsiada po szkło! - mówię i znowu czuję podpływającą pod powiekę łzę - Ja tutaj sam jestem, pani Zenobio, jak mustang samotnik, jak biedny artysta. Chyba, że nie pogardzi pani kubeczkiem z tworzywa sztucznego, bo tylko takie mam.



- Pan mnie nie docenia - uśmiecha się tajemniczo, a moje serce skacze, jak durne, do gardła - ja zawsze mam szklaneczkę przy sobie, że tak powiem, piję ze swego naczynia.

- Absolutnie mnie to nie dziwi. Gdy byłem jeszcze młodym junakiem i bywałem w różnych radosnych miejscach, też swoje szkieleto posiadałem. Nie tylko dla higieny, ale dla zwykłej ludzkiej wygody. To było jak niezbędnik wzorowego żołnierza.. Z tak zwanego gwintu, owszem, wypije, ale z damą nigdy. Fason nie ten.

- I za to, panie Leonie, już pana lubię! Proszę o napełnienie naczyń, a ja zerknę na dzieła sztuki, wiszące na ścianie - wyciąga z torebki mały pakunek, odwija chusteczkę i stawia na stole szklanke, malowaną w zielone kwiatki - Widzę szkołę flamandzką, to przecież "Portret rybaka" van Gogha. Świetna reprodukcja!

- Dla mniej obytych ze sztuką - wyjaśniam - to portret mojego przodka. Wszystkie obrazy to reprodukcje, ale malowane olejem.

- Jest pan niewątpliwie wrażliwym człowiekiem. Wypijmy pod sztukę.

- Wypijmy... Do dna!

- Tylko do dna! Nalewki inaczej nie piję.

- Nalewka, pani Zenobio, pita małymi łyčzkami, ma tendencje powracania do szklanki. Więc do dna!

Po czwartej kolejce, okraszanej przyjemnymi dialogami, ziemniaki "doszły". Pani Zenobia zajęła się podaniem dania na stół, a ja sztukami. Tutaj napotkałem na mały problem. Mam w domu, ukryty głęboko zabytkowy komplet, ale tylko dla jednej osoby. Wyjmuję ten mój srebrny skarb, a może tylko posrebrzany i układam na miejscu gościa. Sobie podaję tradycyjny, aluminiowy. Alkohol powoli miesza się z krwią i jak mówią kiperzy spod Sezamu - wchodzi.

- Smacznego pani.

- Smacznego panu.

Jemy powoli i z dystynkcją. Moja Zenobia łokcie przylepiła do boków i operuje tylko nadgarstkami. Staram się naśladować jej ruchy, ale kapituluję po chwili. Odwykłem!

- Proszę się nie kłopotić. Mnie tato tak nauczył - odgaduje powód mojego zażenowania - pomiędzy łokcie a ciało wkładał mi monety, Gdy pieniążki wypadły, kończyło się jedzenie, gdy nie, były moje. Mój tato, panie Leonie, był oficerem.

- To nie jest moje nieobycie, to samotność! - Tłumaczę się zawstydzony - To brak serca przy sercu i wspólnego ciepła. Od tego zimna reumatyzm duszy więzi mnie swoim bólem. Napijmy się! Proszę. Wypijamy po szklaneczce i ze zgrozą widzę, jak pani Zenobia przygląda się sztukom. Jeszcze tego brakowało!

- Ciekawie grawerowane - stwierdza - a cóż to?

- Swastyka! - Krztuszę się z wrażenia - Historyczna i zabytkowa cecha. Niemiecka secesja, droga pani. Lata trzydzieste, monachijska manufaktura.

- Rozumiem, to przecież bez znaczenia. Pańskie, z jakiej epoki, bo widzę, że też mają grawerowanie?

- Moje sztuce, to klasyczny socrealizm, miła Zenobio, widelec ma wyryty symbol "Orbis", a nóż "Społem". To też sztuka. Zaliczam się do ludzi bywałych w świecie i niejedno dzieło zostało mi na pamiątkę.

Obiad zjedzony w miłej atmosferze, a wypita nalewka tworzy klimat. Zająłem się w rewanżu za kucharzenie sprzątaniem. Właściwie nie sprzątaniem, a odniesieniem naczyń do kuchni.

- Może jakąś muzyczkę? - Pytam radosny i syty - Mam kasetowy magnetofon i kilka taśm.

- Bardzo proszę! Może nawet zatańczymy?

Rozglądam się na boki i szukam miejsca do tańca. Może jakiś przytulany i w bezruchu, bo miejsca do tanga brak. Wkładam kasetę "Enigmy", to ma klimat odpowiednio romantyczny.

Stoimy w miejscu, udając jakiś dziwny taniec. Bujamy się lekko na boki i dociskamy z całych sił do siebie. Moja lewa noga wsparta na piramidzie z Woroszylskim. Jej prawa noga uniesiona do góry, wsparta na Jesiennie. Jestem umiejscowiony pomiędzy nogami pani Zenobii. Co chwilę, by nie stracić równowagi, ujmuję delikatnie jej pośladki i dociskam do siebie. Wszystko we mnie śpiewa!

- Panie Leonie! - Dyszy mi gorącym swego oddechu do ucha - Ja coś muszę powiedzieć! Mam pewne dziwactwo!

- Na naszym poziomie, pani Zenobio, dziwactwa nie istnieją.

- Ale ja muszę to powiedzieć!

- Nie lepiej to zrobić? Bez uprzedzenia?

- Jezu! Kiedy ja muszę!

- Zrobię wszystko, dla pani, wszystko!

- Ja muszę... Muszę, inaczej nie potrafię... Panie Leonie!
- Proszę mówić - całuję jej uszy i mocniej dociskam do siebie - Ja wszystko dla pani! Boże!
- Nie będzie się pan śmiać? Proszę dać słowo!
- Słowo!
- Ja... Tak już mam... Nie usnę przy ścianie!

\*

Najżałośniejszą częścią dnia człowieka w moim wieku są poranki. Budzę się wtulony w zimną ścianę i nie otwierając oczu przypominam sobie wczorajszy dzień. Obmacuję swoje ciało i z przerażeniem stwierdzam, że jestem nagi. Wyciągam rękę na drugą stronę wersalki i niczego nie znajduję. Tylko puste i zimne miejsce. Zwiata! Nie! Słyszę szum wody w łazience. Po chwili otwierają się drzwi i jej miły głos oznajmia, że już dzień, że należy wstać i powitać, może nawet ucałować, na dzień dobry.

- Panie Leonie! - woła - Pora!
- Nie śpię! - odpowiadam.

Wchodzi do pokoju, parująca po kąpieli. Czysta jak spowiedź, piękna jak modlitwa. Włosy luźno rozpuszczone sięgają do pasa. Ubrana w moją koszulę, filuternie rozpiętą od dołu, pokazując zgrabne nogi.

- Wstajemy, wstajemy, panie Leonie.
- Poproszę, w takim razie, podać mi moje gacie, wiszą na balkonie.

Nie jest źle. Zostało nam po szklaneczce nalewki, tak na apetyt, na chęć do życia. Siedzimy przy stole i wpatrujemy się w siebie jak w jakieś magiczne lustro. Pani Zenobia kipiąca kobiecością, ja nieco zmęczony. Obserwuję jak zaplata warkocz i czuję w sobie rosnące pokłady męskości.

- Pani jest piękna - mówię cicho i czuję, że znowu ta moja łza podpływa mi pod powiekę - Czy można, tylko proszę o szczerość, czy można zakochać się po pierwszym, a właściwie po jednym razie?
- Można, kochany panie Leonie, można nawet po wspólnym zjedzeniu jednej kulki winogrona. Potem łapiemy się za ręce, potykamy o sterty książek, upadamy, podnosimy się nawzajem, rozrywamy koszulę na sobie, aż guziki szybują pod sufit.
- Zenobio! Kocham panią!

.....  
Moja pani Zenobia kończy zaplatać warkocz, piękny, konopiasty i gruby. Ja skreślam liczby w multilotka. Jeden zakład, który jest częścią mojego planu. Następnie wyciągam ze świętej księgi sto złotych i przepisuję w rogu banknotu liczby.

- Pani Zenobio, dzisiaj świętujemy - oznajmiam - to będzie wielki dzień. Pani pójdzie z tym banknotem do sklepu i zrobi małe zakupy. Nic na obiad, bo zapraszam panią do baru. Jakiś pasztecik i chleb, może maselko. Ja, kochana, udam się wysłać ten oto zakład i spotkamy się pod sklepem. Tylko nie do Sezamu! Tam pójdziemy potem. Proszę iść do tego małego sklepiku z różową wystawą. Czy ma pani dwa pięćdziesiąt drobnymi?

- Mam, panie Leonie.
- Proszę mi dać. To na zakład.

Wychodzimy z domu i każde idzie w swoją stronę. Szybko załatwiam multilotka i zjawiam się pod sklepem. Pani Zenobia już po zakupach.

- Proszę teraz iść do domu - wręczam jej klucze - za piętnaście minut będę.

- Dobrze, umyję naczynia.

Ustawiam się w kolejce, czwarty do lady. Ekspedientka młoda i wystraszona. Szefa ma drania i rzeźnika. Mówią na niego "Ludojad". Podobno, po pracy rewiduje dziewczyny, wkładając im rękę do majtek. Tym razem nie moja sprawa.

- Co dla pana?
- Cztery parówki, te długie i dwadzieścia deko sera edamskiego.
- Osiem i czterdzieści trzy grosze - pakuje mi to w małą foliową torebkę.

Kładę z obojętną miną dziesięć złotych w banknocie na ladę. Dziewczyna wydaje resztę i kieruje wzrok na następnego klienta. Stoję i czekam, nie biorę zakupów z lady. Przyglądam się towarom na półkach.

- Coś jeszcze?
- Nie, to wszystko, dziękuję... Ale czekam na resztę.
- Reszta leży przed panem!

- Przepraszam bardzo! - Zaczyna się heca - Ta reszta nie jest dla mnie!  
Dałem pani stówę!

- Jaką stówę? Jaką? - Zaczyna się denerwować, co jest oznaką niepewności - Dyszkę mi pan dałeś! Co pan mi tutaj?

- Tym razem pani się to nie uda! - Triumfującym wzrokiem zataczam wokoło - Kierownika! Wołać kierownika!

Z zaplecza wytacza się Ludojad. Idzie posapując. Jeszcze nie wie, co się stało, ale gęba mu szczerwieniała i zacisnął pięści.

- Czego! - Pochylił się w moją stronę przez ladę - No, czego, pytam się jaśnie pana!

- Zaszła mała pomyłka, którą natychmiast możemy wyjaśnić. Zapłaciłem tej pani banknotem stułotowym, a pani, przez pomyłkę wydała mi z dziesięciu. Wystarczy wydać jak należy i po sprawie.

- Kasia! - Docisnął ekspedientkę brzuchem do lady - Jak było?

- Dał dychę!

- Dałem stówę!

- Dychę dałeś, stary bucu!

- Proszę bardzo! Mogę to udowodnić! Jestem hazardzistą i namiętnie grywam w multilotka. Wczoraj w nocy naszło mnie natchnienie na pewne liczby. Żeby ich nie zapomnieć, zapisałem sobie na stówce, którą akurat miałem pod ręką. Proszę bardzo, tutaj jest kupon wysłany na te liczby. Proszę zbadać wszystkie stowy w kasie. Jeżeli będzie jakaś z tymi numerami, to mam rację. Zgoda? Kupon wysłałem przed przyjściem do sklepu. Tam jest godzina.

- Dupa Jaś! - Ludojad gapi się na mnie i powoli zaskakuje - Kaśka zamknij sklep. Jak nie znajdziesz tego banknotu to masz w dziób!

- A jak znajdziesz? To co?

- To te zakupy masz gratis.

Nie trwało to długo. Moja stowa z daleka drażniła szeregiem zapisanych cyfr. Ludojad długo wpatrywał się we mnie. Uśmiechał się i kłął na przemian. W końcu oddał banknot i oczywiście, dyszkę z zakupami.

W domu pachniało mydłem i Zenobią. Kuchnia świeciła czystością, a na półeczce stały dwie nowe szklaneczki, malowane w zielone kwiatki.

- Pani Zenobio - przytuliłem ją do siebie - dzisiaj idziemy na pierogi z jagodami, do baru "Przysmak"

- Dobrze, z przyjemnością, ale coś po drodze musimy załatwić.

- Bardzo chętnie.

- Damy NASZEMU menelowi całe dziesięć złotych. Stać nas na to, czyż nie?

**"DZIEŃ ZA DNIEM" ODCINEK 14**

To już ostatnia opowieść genealogiczna. Zamknie ona moje przestrzenie historyczno-geograficzne. Jasne staną się wszystkie moje odniesienia i sentymeny. Licząc pokolenie dzieci Tadeusza, opowieść o rodzie Broczykowskich zaczynamy siedem pokoleń wstecz. Konstanty Broczkowski był dla Stasia, Tomka, Maćka, Wacka, Marka i Emilka prapraprapradziakiem. Konstanty ożeniony z Barbarą z Grodowskich żył na przełomie XVIII/XIX wieku. Historia ta obejmuje więc sto lat. Konstanty walczył w Powstaniu Styczniowym za co utracił majątek skonfiskowany przez rząd carski. Czy była to Tarnawatka na Lubelszczyźnie jak głosi ustny przekaz rodzinny? A może miejscowość położona nieco dalej na wschód bo Broczykowscy wywodzą się ponoć z Jaworowa. Synami Konstantego byli Roman i Józef. Roman zamieszkał w Czerniowcach na Bukowinie. Był pierwszym, który żeby nie utracić klejnotu szlachectwa podjął pracę zdobywając fach kominiański. Założył własny zakład zatrudniający czeladników. Osobiście po dachach nie chodził i kominów nie czyścił. Kominiarstwo było dziedziną nowoczesną i dochodową, można było dzięki niemu dorobić się fortuny i wybudować kilka kamienic. Do "rumuńskiej" gałęzi Broczykowskich jeszcze powrócę.

Józef Broczkowski ożenił się z Teofilą z Przybylskich, córką burmistrza Zamościa Józefa Przybylskiego i Marii z Raciborskich. Do dziś w Zamościu jedna z ulic nosi imię Przybylskiego. Czy była to jednak rodzina Wacława Przybylskiego, członka władz powstańczych z 1863 r. niewiadomo?

Mieli Przybylscy wysokie koneksje bo ciocia Przybylska-Niewiadomska była żoną generała wojsk carskich i mieszkała w Warszawie we własnej willi przy Alejach Ujazdowskich. Jej córka zamężna za Henrykiem Stępniewskim (lekarzem chorób płucnych z Warszawy) znana mi jest z zachowanych fotografii. Mam też fotografię pułkownika K. Stępniewskiego podpisaną 15 lutego 1903 r. w Inkou (Gdzie leży taka miejscowość? Gdzieś na Dalekim Wschodzie?). Ofiarował ją cioci Emilci, siostrze mego pradiadka "w dowód szacunku i poważania". Jest w mundurze, z szerokimi

epoletami, ma wspaniałą brodę. Brat Henryka, Jerzy Stępniewski w II Rzeczypospolitej był majorem WP. Siostra Henryka i Jurka, Halina ze Stępniewskich-Skulska została żoną komornika, Kazimierza Skulskiego. Jego brat Stanisław był farmaceutą.

Moja praprababcia Teofila miała w chwili ślubu 16 lat! Urodziła się 5 marca w 1841 roku. Ślub odbył się w 1855 roku. Prapradziadek był dużo od niej starszy. Był administratorem dóbr księcia Lubomirskiego. Pewnie stanowił świetną partię jak to dawniej mawiano. Teofila z Przybylskich-Broczykowska zmarła w wieku 81 lat, 18 października 1922 roku w Zamościu i na tamtejszym cmentarzu w grobie rodzinnym została pochowana. W tym samym grobowcu pochowaliśmy siostrę babci ciocię Łodzie tj. Leokadię z Broczykowskich-Tusińską, zmarłą 29 stycznia 1996 roku w Lublinie. Grabarz otwierający grobowiec wpadł w zdumienie na widok metalowej trumny praprababki Teofili i oświadczył iż drugiej takiej samej nie ma na całym zamojskim cmentarzu. Byłem razem z mamą na tym pogrzebie i robiłem zdjęcia, m.in. skrzypka grającego cioci Łodzi tak jak tego sobie życzyła w swej ostatniej woli.

Dziećmi Józefa i Teofili były siostry: Emilia, zwana w rodzinie "Emilcią", Waleria zwana "Walercią" i Maria zwana "Manią". Ich bratem był mój pradiadek Stanisław. Urodził się w czasie podróży praprababki z Galicji do Rosji na granicy w carskim więzieniu. Teofila miała przy sobie jakieś zakazane "bibuły". Może konspiratorzy liczyli na to iż ciężarna nie będzie rewidowana? Jak pokazuje doświadczenie Moskale byli czujni. Kojarzę tą historię z zatrzymaniem Maurycego Drużbackiego przy przeprawie przez Teterów w lipcu 1863 r. W więzieniu jego także odwiedzała ciężarna małżonka. Maurycego jednak rozstrzelano, Teofili udało się i została zwolniona. Epizod graniczny skłonił mnie do wyzyskania jego dramatycznej wymowy w wierszowanej sadze rodzinnej. Opublikowałem ją w "Temi" w 1997 r. w 130 rocznicę powstania Towarzystwa Gimnastycznego "Sokół". Tekst przytaczam poniżej

"Saga"

Konstanty - od krwi wybroczonej  
w styczniowe śniegi, za Polskę!  
na nowo nazwiska dowodził,

z Broczykowskich wywiódł się z domu.  
Z dalekich stron, z Jaworowa,  
z kresowych stron, od granicy,  
ród krzewił się i wędrował  
i dotarł aż do Chrzanowa.  
Stanisław "rodził się w drodze",  
że znaleziono "bibułę",  
matkę dziecię rodzącą  
sołdaty pod straż "zakliuczyły".  
Stąd mundur sokoli przyodziął  
i od najmłodszej chwili  
ćwiczył się na Moskali,  
"malcem do szabli kwilił".  
Familia już zubożona,  
w czarnych sukniach matrony,  
zdjęcie zostało i pamięć  
u wnuków trwa, powtórzona.  
I chociaż lata mijają,  
przepadły dobra i wioski,  
trwa nadal echo wydarzeń  
bo żyją młodzi Broczykowscy.

W wierszu jest mowa o fotografiach jakie przetrwały w rodzinnej kolekcji. Najpierw o portrecie Stanisława w "mundurze sokolim", w czapce z piórkiem, naszywką na bluzie "Chrzanów" (bo reprezentował gniazdo chrzanowskie) i ze sznurem przez piersi spinającym epolety. Z kieszeni spodni dekoracyjnie zwisa przytrzymywany ręką zegarek z dewizką. Wąs fantazyjnie podwinięty, czapka nasunięta na czoło. Oczy głęboko osadzone. W spojrzeniu dostrzegam podobieństwo do mego brata Tadeusza. Ten portret ujmujący całą postać od kolan wzwyż jest dowodem patriotycznego zaangażowania pradziadka Stanisława. Mawiano bowiem "Sokół toruje drogę orłowi". Samo towarzystwo powstało jako reakcja społeczeństwa polskiego na klęskę Powstania Styczniowego. Sokolstwo miało tworzyć rodzaj nowoczesnego zakonu rycerskiego. Krzewienie kultu tężyzny fizycznej, sprawności i gotowości do czynu było niewątpliwie zachętą

do nie popadania w przygnębienie po przegranej walce. Maksyma "W zdrowym ciele zdrowy duch" kładła nacisk na ducha właśnie. Ducha niepodległości. Symbolem narodowej niezawisłości stawał się też mundur sokoli. Oznaka "Sokoła w locie" nawiązywała do polskiego orła, godła narodowego. Pierwszym w kraju ośrodkiem sokolim stała się tak zwana Macierz Lwowska. Idea zrodziła się w środowisku demokratycznym, jesienią 1866 roku. Za cel obrano organizowanie wycieczek krajoznawczych, odbywanie ćwiczeń gimnastycznych i szermierczych, kształcenie nauczycieli gimnastyki, uczenie historii ojczystej.

Animatorami sokolstwa byli: redaktorzy prasy lwowskiej Jan Dobrzański i Zygmunt Balicki, nauczyciel gimnastyki Antoni Durski. Tarnowska filia "Sokoła" powstała w 1883 r., wtedy też założono gniazdo w Stanisławowie. Tarnowskie sokolstwo tworzyli: Wilhelm Muldner, Ignacy Przybyłkiewicz, Stanisław Dubelski. Od 1905 r. uznano polityczny charakter organizacji a od 1906 r. odbywały się tzw. złoty tj. koncentracje oddziałów. Szczególnie sławny zlot odbył się w 1910 r. w Krakowie, tzw. grunwaldzki. Członkowie "Sokoła" stanowili trzon II Brygady Legionów gen. Hallera.

Wspomnę kolejno siostry Stanisława: Emilia zmarła w stanie bezzennym w 1946 r. w Zamościu, Waleria, po mężu Szarlipowa, miała syna Henryka Jerzego, legionistę, Maria, została żoną Tadeusza Ładuńskiego, sekretarza gminy w Tarnawatce, kolejno sędziego w Hrubieszowie.

Stanisław żenił się dwukrotnie i z obu związków miał po troje dzieci. Potomstwo Amalii Wunsche-Broczykowskiej to moja babcia Hanna, Leokadia i Tadeusz. Tadeusz zmarł w 1964 r. Miał 2 synów: Stanisława i Zdzisława. Dziećmi cioci Łodzi i wujka Władka Tusińskich są: Liza i Stacha. Liza jest farmaceutką tak jak jej mąż, wujek Grzesiek. Ciocia Stasia pracowała w Zarządzie Aptek. Wysłała za mąż za weterynarza. Ich synem jest Tomek, doktor lubelskiej Politechniki. Liza i Grzesiek są rodzicami Barbarki i Tamarki. Tak nazywano je w rodzinie gdy były małe. Obecnie obie mają już swoje rodziny. Basia i Janusz są lekarzami, Tamara i Waldek prowadzą biuro turystyczne. Córki Basi: Magda i Majka już studiuje! Synowa cioci Stasi, Ania jest romanistką.



Potomstwem Marii z Jaworskich de Ihnatiewicz-Broczykowskiej są: Maria, Ziuta i Adam. Córka cioci Mani z Broczykowskich-Wądrzykowej, Ewa wyjechała do Kopenhagi. Synowie Ziuty i Adolfa Jochyma to Paweł i Marek. Z córką Pawła Olą stale koresponduje. Ma z mężem Jackiem córeczkę Martynkę. Przyrodnim bratem Pawła i Marka, synem Ziuty i jej drugiego męża Rafała Mroza, jest Tomek.

Z całego rodzeństwa mojej babci żyje jeszcze tylko Adam. Mieszka z ciocią Helą w Chrzanowie, rodzinnym mieście mej babci! Dzieci Adama to Jarek i Gosia. Wnuki Wojtek i Patryk to młodzi Broczykowsy z pointy przytaczanego powyżej wiersza. Syn Gosi i Jurka Tworków, Bartek jest już chyba duży?

Rumuńska gałąź rodziny Broczykowskich to zamieszkali w Czerniowcach: Kazia, zamężna za tutejszym konsulem RP, Jerzym Rapfem i jej siostra Mila (Emilia). W babcinym albumie jest zdjęcie Mili i jej 2 synów. Niestety nie znam ich imion. Kontakty się pozrywały w czasie II wojny światowej. Bratem Kazi i Mili był Konstanty, ojciec poległego w Powstaniu Warszawskim Jurka?

Babcia Hanka miała szansę bliżej związać się z ciocią Kazią, kiedy wujostwo Rapfowie chcieli ją ściągnąć do siebie do Antwerpii. Wuj Jan Jerzy Rapf (ur. w 1885 r.) był dyplomata. Z Czerniowiec został przeniesiony do Antwerpii, potem do Morawskiej Ostrawy i wreszcie do pruskiego Olsztyna (w latach 1929-1932), w końcu do Ełku. Babcia nie wyjechała bo sprzeciwił się temu jej ojciec. Za namową profesora Leśnodorskiego (starszego), zapisała się na Wydział Filozoficzny Uniwersytetu Jagiellońskiego, podjęła studia historyczne.

Pracowała jako nauczycielka. Najpierw w Babicach koło Lipowca, powiat Chrzanów, następnie w Nowej Górze, Miękini i we Frywałdzie, podkrzeszowickich wioskach.

Kolejno przeniosła się do Pogorzyc koło Chrzanowa i wreszcie w 1932 r. do Zalas k/Krzeszowic. Z tego okresu wspominała dyrektorkę szkoły we Frywałdzie, p. Paderewską (krewną Ignacego) oraz p. Trojanowską z Pogorzyc. W 1933 r. ze względów rodzinnych babcia zamieniła się z kolegą miejscem pracy. Do zamiany doszło ze Stefanem Wojtarowiczem z Tarnowa, na szkołę w Łaziskach, powiat Zamość. W 1935 poślubiła Izydora Seiler (1891-1964) prawnika, absolwenta Uniwersytetu im. Jana Kazimierza we Lwowie.

Dziadzia indeks szczegółowo tutaj analizowałem. Jakie są w nim nazwiska! Sławni profesorowie tworzący lwowską legendę! Dla porównania w moim indeksie z UJ też mam nazwiska kilku profesorów, sław dnia dzisiejszego. Jest to jednak nie to samo. Choć Kraków i Lwów były dla siebie konkurencją wówczas, to dziś lwowski indeks ma w sobie ciężar gatunkowy powiększony o nostalgię żywioną do tamtych ziem utraconych. Do tamtego czasu minionego. Krótko wymienię swoich wykładowców i egzaminatorów. Z prawa konstytucyjnego Sarnecki i Jaskiernia, z ekonomii Oyrzanowski, z zarządzania Homplewicz, z psychologii Borucka-Arctowa, z niemieckiego Estreicher i Beiersdorf, z metodyki źródłowych badań prawniczych Kwiatkowska, z prawa karnego Andrzej Zoll. Prawo administracyjne z Zimmermanem i Filipkiem, cywilne z Ćmikiewiczem i Drozdem. Socjologia z Pałeckim, filozofia z Wolańskim, prawo rolne - Lichorowicz, gospodarcze Weiss. Konwersatorium z ustroju ziem polskich w XIX i XX wieku - Uruszczak, historia administracji - Malec, prawo pracy - Nózka i Świątkowski, tworzenie prawa - Grzybowski, prawo spółdzielcze - Miączyński, międzynarodowe - Nahlik! Historia powszechna - Wojciech Maria Bartel, wnuk premiera II Rzeczypospolitej. To tylko wybrani a jeszcze historycy: Skowronek i Wilczyński od historii starożytnej, Chrobaczyński i Rożek, Kotarski i Franciszek Leśniak, Żaliński i Henryka Kramarz, Mrocza, Essen, Zawistowski, Gaertner i Kłosińska od łaciny. Grono światłych ludzi, którzy przyczynili się do mojego rozwoju. Mógłbym o każdym z nich przytaczać anegdoty, szczegóły z wykładów. Pomijam to choć muszę uzupełnić, że najbardziej lubiłem panią Kramarz, Żalińskiego i Chrobaczyńskiego a z prawników: Borucką-Arctową, Kwiatkowską, Zimmermana i Weissą.

Wracam do wątku dotyczącego wojennych losów dziadzia. W czasie I wojny światowej dziadzio był porucznikiem. Służył najpierw w wojsku austriackim, 58 pp. stacjonującym w Stanisławowie. Dziadzio urodził się w Roźniatowie ale tej historii nie muszę już powtarzać. Zacząłem od niej ten dziennik. Saga Seilerów otwiera ciąg historycznych poszukiwań rodzinnych korzeni. Od 1915 r. dziadzio Dorek walczył na froncie rumuńskim, w Karpatach Wschodnich,

później na froncie włoskim. W armii austriackiej odznaczony został krzyżem srebrnym II klasy. Od 3.XI.1918 r. do 29.XII. tegoż roku przebywał w niewoli włoskiej. Wstąpił do Armii Polskiej we Włoszech, do pułku im. Garibaldiego w obozie La Mondria di Chiavasso. Od 12.I.1919 r. do 15.IV. przebywał we Francji, w armii gen. Hallera, przy 7 p. Strzelców. Był z-cą dowódcy kompanii i przy C.I.D. (Centrum Dyw. Instr. Strzelców Polskich) jako adiutant. Od 1.VI.1919 w kraju, został skierowany do Baonu Zaop. 45 p. Strzelców.

Uczestniczył w wojnie polsko-rosyjskiej. Został ranny w bitwie pod Tarnopolem, 25.XII.1920 r. i odznaczony Krzyżem Walecznych. Urlopowany z wojska 7.XI.1921 r. po ślubie z babcią Hanką zamieszkał w Zamościu. Tutaj w 1937 r. urodziła się moja mama. Babcia uczyła w latach 1936-1941 w szkole w Szopinku k/Zamościa.

Niezwykle trudne były zwłaszcza lata 1939-1941. Wieś zamojska przeszła pacyfikację i wysiedlenia. Dotyczyło to ponad 100 wsi, głównie w powiecie zamojskim i tomaszowskim. Około 40 wsi obsadzono kolonistami niemieckimi. Polecono nauczanie w języku niemieckim. Babcia pomimo biegłego opanowania niemieckiego nadal uczyła polskie dzieci ojczystej mowy. Zwolniono ją za to z pracy, pozbawiając prawa nauczania we wszystkich szkołach Generalnego Gubernatorium. Chcąc uniknąć aresztowania musiała wraz z całą rodziną uciekać. Przeniosła się do Lwowa bo w wielkim mieście łatwiej było się zgubić i nie zwracać na siebie uwagi.

Babcia wspominała swoje dramatyczne przeżycia dotyczące m.in. pacyfikacji Szopinka. Pewnego dnia idąc do szkoły, zauważyła motocykle i niemieckie samochody. Trwała akcja wysiedleńcza. Ludzi wyrzucano z domów, dając kwadrans na zabranie bagażu. Młody człowiek podszedł wówczas do babci i poprosił o przeprowadzenie jego starego ojca (który nie miał sił aby przeżyć wywózkę) do domu obok, z którego nikogo nie zabierano. Nikt nie zwrócił uwagi na babci akt odwagi ale jeden Niemiec obserwował co zaszło. Wylegitymował babcię, polecił jej aby nie mieszała się do tego co się dzieje i rozkazał "Uciekaj, bo Cię zastrzelę!". Babcia opowiadała o tym ze spokojem a nawet uśmiechając się. Przyszła jej do głowy myśl, że jeśli ma być zastrzelona to ucieczka nic nie pomoże. Postanowiła więc nie uciekać! Nie dawać satysfakcji Niemcowi, który w ten sposób dodatkowo by

babcię upokorzył, zmuszając ją do ucieczki. Zwłaszcza na oczach dzieci i ich rodziców, wśród których cieszyła się szacunkiem. Odwróciła się i powoli krok za krokiem oddalała się. Żołnierz krzyczał jeszcze "Uciekaj, uciekaj!" ale nie strzelał. Jego krzyk nie robił już takiego wrażenia. Udało się. Od przybyłych do Szopinka kolonistów, babcia dowiedziała się, że ów żołnierz kilkakrotnie zachowywał się podobnie i zawsze strzelał, gdy ktoś zaczynał uciekać! Inna sytuacja miała miejsce we Lwowie. W czasie ulicznej łapanki, żołnierze zagarnęli babcię i moją (wówczas 5-letnią) mamę do grupy ludzi przeznaczonych do załadowania na samochód ciężarowy tzw. "budę". Dziecko objęło Niemca, płacząc i prosząc o ratunek. W Niemcu coś pękło. Zdobył się na ludzki odruch i zezwolił babci i mamie odejść w spokoju. Rozglądał się aby nikt temu nie przeszkodził. Opowieści babci i dziadzia z czasów wojny zawsze chętnie słuchałem, bardzo przejęty.

Nadchodzi czas aby kończyć tę opowieść. Pozamykać różne wątki. Dokończyć chcę opis starych fotografii z albumu babci Hanki. Jest tam zdjęcie prapradziadka Józefa Broczykowskiego. Zdjęcie pradiadka Stanisława, w meloniku, z trójką dzieci z pierwszego małżeństwa: Hanką, Lodą i Tadeuszem bardzo lubię. Mam taki sam melonik! Jest pocztówka z Warszawy z 1905 r. do Emiliji Broczykowskiej od Juliana Sobiepana, z zapytaniem o adres wujostwa Popławskich. Czyżby pochodzący z Lubelszczyzny Jan Ludwik Popławski (1854-1908) miał coś wspólnego z rodziną Broczykowskich?

Żołnierz "Głosu", tygodnika literacko-społecznego, Sybirak, absolwent prawa na UW jest postacią historyczną i bliską idei sokolstwa. Działał też wraz z Dmowskim we Lwowie. Czy był w Tarnawatce?

Inna pocztówka z sierpnia 1907 r. pisana jest przez Leona Walewskiego do obu siostr Emilii i Walerii Broczykowskich. Pozostała też kartka z 1905 r. pisana z Chrzanowa do Teofili i Emilii Broczykowskich przez Amalię i Stasia. Czytam ze wzruszeniem "Przyjechaliśmy do domu zdrowi a naszej Hani nawet posłużyła podróż. Wygląda wyśmienicie. Do domu powróciliśmy we wtorek, gdyż zabawiliśmy dwa dni w Rzeszowie...Gerard obiecuje sobie, że

wyberze się do Tarnawatki w lecie na parę tygodni...". te słowa o Janince dotyczą mojej babci, która właśnie w 1904 r. się urodziła. Powrócę jeszcze do fotografii rodzinnej wspomnianej w przytoczonym wierszu. "...Familia już zubożona,

w czarnych sukniach matrony,  
zdjęcie zostało i pamięć  
u wnuków trwa powtórzona..."

To zdjęcie przedstawia praprababkę Teofilę, jej córki: Walerię i Manię wraz z mężem, Tadeuszem Ładuńskim i pułkownika wojsk carskich z twierdzy Zamość - Stoffelsa. Jego żona Cecylia była matką chrzestną babci Hanki. Babcia właśnie po niej otrzymała jako drugie imię, imię Cecylia. Ewenementem jest, że Mania Ładuńska stojąca koło Stoffelsa ma pod szyją element narodowej biżuterii, białego polskiego orzełka. Czarne suknie Teofili, Walerii i Mani to żałoba narodowa po 1863 roku! Są wytworne wnętrza i kanapy z mieszkania Stanisława i Marii Broczykowskich. Maria de Ihnatiewicz-Broczykowska z córkami Maryną i Ziutą, synem Adamem i z dwoma psami. Babci fotografia w sukni z motywem jesiennych liści, odrysowana w powiększeniu, w ołówku i niedawno oprawiona. O tym najnowszym portrecie wiele rozpisywałem się, analizując niezdecydowanie mojej mamy. Zdjęcia Kazi i Jurka Rapfów, ich córki Lidii, po mężu Herder. Mili Broczykowskiej i jej synów z Rumunii. Wiele zdjęć dziadzia Dorka, w tym z I wojny światowej, z Włoch i z Francji. Zdjęcia znajomych, książąt Karmańskich, Karola Dunin-Wąsowicza, siostry prababci Amalii Wunsche-Broczykowskiej, Geislerowej z Anglii, cici generałowej Niewiadomskiej.

Powieść-dziennik pora zamykać. Są tutaj treści rodzinne i dotyczące historii Polski, historii Tarnowa, choć w niewielkim okresie czasu. Czy są w nich zawarte odpowiedzi na pytania postawione na wstępie? Każdy czytelnik sam na to odpowie. Tutaj w Tarnowie ogniskuje się wiele takich historii. Wiele rodzin mogłoby opowiedzieć o swoich wędrówkach i tułaczkach zanim trafiło do miasta nad Dunajcem i Białą. Główne tarnowskie ulice Krakowska i Lwowska mówią wprost o otwartym charakterze miasta, zlokalizowanego na szlaku wschodnim.

Ponad połowy tarnowskich obywateli sprzed II wojny światowej już nie ma. Pochłonął ich holocaust. Kiedy babcia wraz z moją mamą, wówczas 8 letnią Nusią zjawiała się w Tarnowie, uciekając przed sowietami ze Lwowa, byli jeszcze tutaj Niemcy. I właśnie wtedy sąsiad doniósł okupantom, że obok niego zamieszkali Żydzi, uciekający ze wschodu. Dokumenty babcia miała w porządku.

Uczyła potem w Skrzyszowie k/Tarnowa. Od 1946 r. w szkole miejskiej im. Czackiego, kolejno im. Słowackiego. Ostatnim miejscem jej pracy była szkoła im. gen. Bema. W 1972 r., w 50 lat od podjęcia pracy w oświacie zakończyła babcia swą karierę zawodową, przechodząc na emeryturę. Ceniono ją jako nauczycielkę języka polskiego i historii, za dobrą pracę wychowawczą, sprawiedliwość i serce do młodzieży a w ostatnich latach za pracę biblioteczną. Umarła na serce 2 czerwca 1989 r. spoczywa na tarnowskim Starym Cmentarzu. Kontynuuję zawodowe tradycje mojej babci i mamy. Uczyłem w Białych Dolinach pod Tarnowem i w Pomaturalnym Studium Pedagogicznym, w Szkole Muzycznej i Liceum Ogólnokształcącym, w Dąbrówkach i obecnie w Zespole Szkół Artystycznych. Tak jak babcia pracuję w miejskiej bibliotece choć w zupełnie innym charakterze, prowadząc warsztaty literackie.

Córka Leona, Hela wyjechała do pracy do Wiednia. Oli koleżanka Kasia do Chicago. Tadeusz chciałby jechać do Anglii, do ojca Leona. W Tarnowie brak miejsc pracy. Ewa, pierwsza żona Tadeusza też myśli o wyjeździe do Kanady. Umarł nagle doktor, dziadek Marysi. Znany i ceniony tarnowski lekarz i historyk. Jurek rozwiódł się z Jagną ale ona jest teraz sama z córeczką i telefonuje do niego. Może się pogodzą. Byliśmy niedawno u Zuzi i Mariana. On ma stale kłopoty nowotworowe wynikające z ciągłego stosowania leków przeciwko odrzutowi przeszczepu serca. Gerard i Julia odwiedzają nas dość regularnie, tak samo Maciek i Wacek. Tato czuje się trochę lepiej, Waldek znalazł pracę i studiuje prawo we Wrocławiu. Przyszedł list z Ameryki od Eli i Izy. Życie toczy się dzień za dniem.

Z.M.

W 25-letniej historii istnienia na warszawskim rynku prasowym tygodnika ilustrowanego „Kłosy” z czasopiśmem związanych było wiele wybitnych osobistości epoki polskiego pozytywizmu. Niewielu jednak z nich współpracowało z redakcją periodyka przez cały okres jego ukazywania się. Jako jeden z nielicznych z piśmem od początku do końca związany był jego wydawca, właściciel, a zarazem członek komitetu redakcyjnego Salomon Lewental.

## 2.1: Sylwetka wydawcy

Salomon Lewental urodzony w lipcu 1841 r. we Włocławku był liczącym się w środowisku warszawskim wydawcą, posiadającym własną drukarnię, księgarnię i odlewnię czcionek. Ojciec Lewentala był filozofem żydowskim, nauczycielem języka hebrajskiego, a także tłumaczem na tenże język literatury polskiej. W roku 1856 15-letni Salomon ukończył naukę w szkole rabinów w Warszawie, po czym rozpoczął pracę w kantorze kupieckim Józefa Janasza. W tym też jeszcze roku przeniósł się do firmy wydawniczo-księgarskiej Jana Glücksberga, gdzie podjął pracę jako praktykant. Po śmierci Glücksberga w roku 1859 ożenił się z jego córką Ernestyną<sup>1</sup>. Wkrótce też objął po zmarłym teściu wydawnictwo wraz z księgarnią i drukarnią. Za oficjalną datę przejścia przez niego firmy przyjęło się uważać rok 1863, jednakże według samego wydawcy wydarzenie to należałoby umiejscowić raczej 2 lata wcześniej, w roku 1861. Jedno wszak nie ulega wątpliwości. Nie zależnie od tego, którą datę przejścia firmy uznamy za bardziej wiarygodną, to i tak widać, iż zakład prężnie się rozwinał i rozkwitł już pod okiem nowego właściciela. W roku 1862 Lewental zmienił nazwę zakładu na „Księgarnię Nakładową Salomona Lewentala” i przeniósł jego siedzibę z ul. Miodowej do własnego domu przy ulicy Widok 1566 a (12). W późniejszym okresie jeszcze dwukrotnie zmienił się adres firmy Lewentala. Od roku 1875 mieściła się ona przy ulicy Nowy Świat 39, a od roku 1885 tamże pod nr 41, także w domu będącym własnością wydawcy.

Już w roku 1862 Lewental rozpoczął wydawanie niezwykle popularnego *Kalendarza ludowego* ukazującego się w nakładzie 15 tys. egzemplarzy. Zysk, który przyniosło mu to wydawnictwo, zainwestował

<sup>1</sup> B. Szyndler: *Tygodnik ilustrowany „Kłosy” (1865–1890)*. Wrocław 1981, s. 31.

następnie w wydawanie *Czasopisma Ilustrowanego Tygodniowego „Kłosy”*. Zachęcony pomyslnym rozwojem i powodzeniem tegoż piśma, zdecydował się w roku 1869 na wydawanie kolejnego czasopisma „Tygodnika Romansów i Powieści” ukazującego się do roku 1886, a przekształconego z „Kółka Domowego”<sup>2</sup>. Periodyk ten miał czysto komercyjny charakter i był poświęcony polskiej i obcej literaturze beletrystycznej. Na łamach czasopisma w odcinkach publikowano powieści: Józefa Ignacego Kraszewskiego, Teodora Tomasza Jeża, Elizy Orzeszkowej, Jana Zachariasiewicza, Walerii Morzkowskiej-Marrene, Michała Batuckiego, Bronisława Grabowskiego i innych polskich pisarzy. Z twórczości obcych autorów prezentowano tutaj m.in. utwory George Sand, Emila Zoli czy Karola Dickensa. Pieczę nad redakcją piśma sprawował przez długie lata dramaturg, a zarazem krytyk i tłumacz literacki Kazimierz Kaszewski, korzystający w prowadzeniu piśma z pomocy żony Marii Sławianowskiej, tłumaczki wielu utworów na potrzeby tygodnika<sup>3</sup>.

W roku 1872 Lewental podjął się wydawania przy „Kłosach” monumentalnej serii zatytułowanej „Biblioteka Najcelniejszych Utworów Literatury Europejskiej” redagowanej do roku 1878 przez Fryderyka Henryka Lewestama, a następnie przez Piotra Chmielowskiego<sup>4</sup>. Poszczególne tomy serii o objętości od 2 do 3 arkuszy druku garamondem, ukazywały się co tydzień w formie dużej „8” i można je było otrzymać w rocznej prenumeracie<sup>5</sup>.

W ramach serii ukazały się m.in.: 9-tomowy wybór *Komedii ludzkiej* Honoriusza Balzaka, 3-tomowy wybór dzieł George’a Byrona w tłumaczeniu Franciszka Jezierskiego, Jana Kasprowicza, Edwarda Porębowicza i innych, *Dramaty* Pedro Calderona tłumaczenia pióra Edwarda Porębowicza, 10-tomowy *Wybór pism* Józefa Ignacego Kraszewskiego, *Wybór pism Leopardiego* w przekładzie Porębowicza, *Wybór pism dramatycznych* Maurice’a Maeterlincka w przekładzie i ze wstępem Zenona „Miriamy” Przesmyckiego, również w jego tłumaczeniu 2-tomowy *Wybór pism J. Zeyera*, zbiorowe wydanie *Poezji* Andrzeja Morsztyna, czy też 4-tomowe zbiorowe opracowanie *Dziejów literatury powszechnej*<sup>6</sup>. Prócz

<sup>2</sup> J. Polańska: *Lewental Salomon*. W: *Słownik Pracowników Książki Polskiej*. Pod red. I. Treichel. Warszawa 1972, s. 511.

<sup>3</sup> B. Szyndler: *Tygodnik...*, s. 32.

<sup>4</sup> E. Malinowska: *Problematyka literacka „Kłosów”*. Katowice 1992, s. 36.

<sup>5</sup> J. Polańska: *Lewental...*, s. 511.

<sup>6</sup> „Biblioteka Najcelniejszych Utworów Literatury Europejskiej”. W: *Wielka Ilustrowana Encyklopedia Powszechna Wydawnictwa Gutenberga*. T.2.



Kraszewskiego i Morsztyna w serii „Biblioteki Najcenniejszych Utworów Literatury Europejskiej” znalazło się również miejsce dla prezentacji twórczości m.in. takich polskich literatów jak: Michał Bałucki, Teodor Tomasz Jeż, Ignacy Krasicki, Adam Naruszewicz, Wacław Potocki, Henryk Rzewuski, Lucjan Siemieński, Fryderyk Skarbek, Juliusz Słowacki, Władysław Syrokomla, Aleksander Tyszyński czy Franciszek Zabłocki. Ponadto w tejże serii ukazały się również dzieła tak znakomitych twórców literatury powszechnej jak: greckiego tragediopisarza Sofoklesa, rzymskiego komediopisarza Publiusza Terencjusza, angielskiego poety Alfreda Tennysona, amerykańskiego nowelisty i humorysty Franciszka Bret-Harte’a, hiszpańskiego dramatopisarza Lopego Feliksa de Vegi, francuskich pisarzy: Moliera, Wiktora Hugo, Henryka Stendhalla, niemieckich poetów i dramatopisarzy Jana Wolfganga Goethego, Fryderyka Schillera, Adolfa Wilbrandta, Gottholda Lessinga i Pawła Heysego oraz pisarzy rosyjskich Michała Lermontowa i Jana Turgieniewa<sup>7</sup>. „Biblioteka Najcenniejszych Utworów Literatury Europejskiej” ukazywała się do roku 1901<sup>8</sup>.

W latach 1875–1876 Lewental wydał w 3 zeszytach imponujący *Album Matejki*. Dzieło to zawierało reprodukcje 81 obrazów i rysunków malarza znajdujących się na 48 kartach formatu 34 x 60 cm. Pierwsza część albumu zawierała obrazy, druga odtworzone przez Matejkę z pieczęci, medali, sztychów i pomników wizerunki, trzecia zaś starożytne budowle i zabytki. Większość reprodukcji została wykonana w drzeworytni „Kłósów”. Wyjątek stanowiły tylko 2 portrety wycięte w Drzeworytni Warszawskiej. Najwięcej, bo aż 41 drzeworytów sporządził Jan Styfi. Pozostałe rysunki wykonał bezpośrednio na drzewie sam Jan Matejko, dzięki czemu album poza wysokim poziomem artystycznym, posiada również rangę dzieła autorskiego Mistrza. Drzeworyty zostały starannie odbite na bardzo dobrym jakościowo papierze wyprodukowanym w Jeziorniej. *Album Matejki* otwiera słowo *Od wydawcy* oraz portret malarza, autorstwa jego przyjaciela, współpracownika i malarza w jednej osobie Floriana Cynka, wykonany bezpośrednio na drzewie, a rytowany przez Józefa Holewińskiego. Objasnienia do ilustracji sporządził Kazimierz Władysław Wójcicki. *Album* wydano również z tekstem w języku niemieckim, a jego cena wynosiła 10 rubli<sup>9</sup>.

Kraków 1929, s. 183.

<sup>7</sup> B. Szyndler: *Tygodnik...*, s. 33, 35.

<sup>8</sup> „Biblioteka...”, s. 183.

<sup>9</sup> B. Szyndler: *Tygodnik...*, s. 130.

Lewental zdając sobie sprawę z tego, iż wokół „Kłósów” zgromadził ludzi nie tylko uprawiających, ale i popularyzujących naukę postanowił wykorzystać ich twórczy i intelektualny potencjał dla kolejnego swego edytorskiego przedsięwzięcia, którym miał być ukazujący się przy tygodniku „Kwartalnik Kłósów. Pismo Naukowo-Literackie”. Wydaje się, iż publikacja ta miała wspierać polską naukę wspólnie z istniejącymi już na polu naukowym czasopismami takimi jak chociażby: „Biblioteka Warszawska” czy „Ateneum”. Możliwe jest jednak, iż ambicje wydawcy nowego naukowego periodyka sięgały dalej, a „Kwartalnik” miał być w jego mniemaniu rywalem dla „Ateneum”. Za powyższą tezę przemawia fakt, iż prace przygotowawcze do wydania „Kwartalnika” rozpoczęły się w redakcji „Kłósów” w drugiej połowie 1876 r., a więc już po ukazaniu się kilku numerów naukowego miesięcznika „młodych”. Wiążące decyzje dotyczące zespołu autorskiego oraz zawartości treściowej „Kwartalnika” zapadły dopiero w grudniu. Zaproponowano współpracę wielu wybitnym uczonym i publicystom reprezentującym najróżniejsze dziedziny nauki, literatury i sztuki. Na wniosek profesora Henryka Struvego, kierownicy poszczególnych działów periodyka mieli obowiązek przygotowywać roczne sprawozdania z prac, ponadto dostarczać wiadomości bibliograficzne, a także opiniować nadesłane artykuły. Sam Struve miał pełnić w czasopiśmie rolę kierownika działów: filozofii, sztuk pięknych, estetyki (wspólnie z Kazimierzem Kaszewskim) i pedagogiki. Działem historii literatury polskiej i powszechnej mieli kierować: Fryderyk Henryk Lewestam, Edward Lubowski oraz Adam Pług. Do współpracy w zakresie literatury polskiej XVI i XIX wieku, a także estetyki i filologii klasycznej udało się zwerbować Piotra Chmielowskiego<sup>10</sup>. Pierwszy numer naukowego kwartalnika ukazał się na początku 1877 r. Przeważały w nim artykuły historyczne nadesłane przez badaczy zamieszkujących Królestwo Polskie. W czasopiśmie wyróżniał się przede wszystkim dział informacji zagranicznej zawierający informacje z różnych dziedzin nauki, literatury i sztuki. Na końcu numeru znalazły się informacje bibliograficzne dotyczące nowych książek i ważniejszych artykułów w czasopismach. Ukazały się jednak tylko 2 numery „Kwartalnika”<sup>11</sup>. Pismo nie spotkało się ze spodziewanym zainteresowaniem czytelnictwem, udało się zebrać tylko 200 prenumeratorów, w związku z czym zostało ono zlikwidowane<sup>12</sup>.

<sup>10</sup> E. Malinowska: *Problematyka...*, s. 36–37.

<sup>11</sup> Z. Kmiecik: *Prasa Warszawska w okresie Pozytywizmu 1864–1885*. Warszawa 1971, s. 231.

<sup>12</sup> H. Natora-Macierewicz: *Księga sesyjna „Kłósów” (1865–1890) jako*



W roku 1883 Lewental podjął się wydawania kolejnego, tym razem przeznaczonego dla kobiet ilustrowanego czasopisma „Świt”. Pismo to o niezwykle postępowym charakterze powstało z przekształcenia czasopisma „Mody”, odkupionego przez wydawcę od Walerii Morzkowskiej-Marrene za 700 rubli. Miało ono konkurować z wydawanym w Warszawie od roku 1866 przez szwagra Lewentala – Michała Glücksberga tygodnikiem społeczno-kulturalnym dla kobiet „Bluszcz”. Ster redakcji „Świtu” spoczął w rękach poetki Marii Konopnickiej. Lewental w zamian za współpracę zaoferował jej roczną pensję w wysokości 2000 rubli, mieszkanie w domu na Nowym Świecie 39 oraz oddzielne honoraria autorskie za własne utwory pisarki publikowane na łamach czasopisma. Niestety pismo to po 3 latach ukazowania się upadło. Ogromny wpływ na taki stan rzeczy miał liberalno-demokratyczny charakter czasopisma i głoszone przez nie hasła emancypacji kobiet, co nie przypadło do gustu obozowi konserwatywnemu. Pozostające na usługach konserwatystów organy prasowe ostro zwalczały „Świt”, co spowodowało z kolei ciągle zmniejszanie się liczby stałych prenumeratorów periodyka. Zabiegi redakcji mające na celu pozyskanie nowych czytelników nie przyniosły żadnych wymiernych rezultatów. Straty finansowe poniesione przez wydawcę z tego tytułu odbiły się szerokim echem na zgodzie do tej pory układającej się współpracy z Marią Konopnicką. Lewental zaproponował jej bowiem znaczne obniżenie pensji, na co ze zrozumiałych powodów poetka nie przystała i w rezultacie na początku maja 1886 r. opuściła redagowane przez siebie pismo. Jej miejsce zajęła znana nam już skądinąd Waleria Morzkowska-Marrene, która piastowała funkcję redaktora naczelnego „Świtu”, aż do jego likwidacji w roku 1887. Bezpośrednią przyczyną zamknięcia wydawania czasopisma dla kobiet było gwałtowne zmniejszenie się liczby jego abonentów z 2500 do 60 czytelników<sup>13</sup>.

Pomimo angażowania się przez Lewentala w pracę na różnych polach wydawniczych zasłynął on głównie jako wydawca zbiorowych edycji utworów: M. Bałuckiego, T. T. Jeża, J. Korzeniowskiego, J. I. Kraszewskiego oraz E. Orzeszkowej<sup>14</sup>. Zamierzając wydać kompletny zbiór powieści Elizy Orzeszkowej wydawca zwrócił się do niej z prośbą o odstąpienie mu na okres 25 lat za sumę 3400 rubli praw autorskich dających wyłączność na wydanie wszystkich liczących 34 tomy powieści autorki. Ponadto gwarantował on pisarce dożywotni udział w zyskach z wydawanych książek. Po

krótkotrwałym okresie zawahania Orzeszkowa przystała na oferowane jej warunki<sup>15</sup>. Dodatkowo uzyskała zapewnienie wydawcy, iż jej powieść historyczna *Mirtala*, będzie drukowana w „Kłosach” wraz z ilustracjami w roku 1885<sup>16</sup>. *Tanie zbiorowe wydanie powieści Orzeszkowej* ukazało się w latach 1884–1886 w edycji składającej się z 3 serii. Cena jednego tomu wynosiła 65 kopiejek, zaś egzemplarz oprawny był o 45 kopiejek droższy<sup>17</sup>.

Wydawnictwa prezentujące literaturę piękną stanowiły ok. 78% produkcji książek oficyny wydawniczej Lewentala. Podejmując się działalności wydawniczej na szeroką skalę zmuszony był on do zainstalowania w swojej pracowni drukarskiej 2-óch nowych maszyn rotacyjnych firmy Kęniga-Bauera. W swojej drukarni zatrudniał 22 robotników<sup>18</sup>.

Dbając o reklamę własnej firmy, Lewental prezentował swe wydawnictwa na wystawach w Paryżu i Wiedniu. Celom reklamowym służyły także ogłaszane przez niego katalogi nakładowe: *Katalog wydawnictw...* (1885, 1888, 1890) z portretami autorów i ilustracjami z książek, czy też *Wyciąg z katalogu Księgarni nakładowej...* (1877).

Od około 1887 r. wydawca stopniowo zmniejszał swój udział w ruchu wydawniczo-księgarskim, zamykając kolejno wydawane przez siebie czasopisma „Świt” (1887), „Kłosy” (1890) oraz „Tygodnik Romansów i Powieści” (1901). Jednocześnie w maju roku 1887 nabył połowę udziałów „Kuriera Warszawskiego” stanowiących własność G. Gebethnera i R. Wolffa, stając się jego współwydawcą. Pozostała część udziałów należała do sukcesorów po zmarłym w 1886 r. redaktorze, a zarazem współwydawcy „Kuriera” od 1868 r. Wacławie Szymanowskim. Po śmierci Piotra Sączockiego, Lewental stał się właścicielem pozostałej po nim odlewni czcionek, niegdyś należącej do Natana Glücksberga, a która od maja 1887 r. pracowała na potrzeby „Kuriera Warszawskiego”. W roku 1890 wydawca zakupił do swej drukarni trzecią już rotacyjną maszynę Kęniga-Bauera odbijającą 14 tys. egzemplarzy czasopisma na godzinę. W roku 1896 miało nastąpić dalsze rozszerzenie zakładu<sup>19</sup>.

Sporo czasu poświęcił Lewental działalności filantropijnej i charytatywnej. W latach 1878–1879 zainicjował m.in. budowę synagogi

<sup>13</sup> B. Szyndler: *Tygodnik...*, s. 35.

<sup>14</sup> J. Kulczycka-Saloni: *Życie literackie Warszawy w latach 1864–1892*. Warszawa 1970, s. 69.

<sup>15</sup> B. Szyndler: *Tygodnik...*, s. 35.

<sup>16</sup> *Tamże*, s. 35–36.

<sup>17</sup> J. Polańska: *Lewental...*, s. 511.

źródło informacji o funkcjonowaniu redakcji. „Kwartalnik Historii Prasy Polskiej” 1980 nr 4, s. 43.

<sup>13</sup> B. Szyndler: *Tygodnik...*, s. 32–33.

<sup>14</sup> H. Natora-Macierewicz: *Księga...*, s. 36.

w Warszawie i wraz z innymi spolonizowanymi Żydami wprowadził do niej język polski. Ponadto był on przez długie lata kuratorem szpitala starozakonnych i łożył znaczne kwoty na jego utrzymanie. Wydawca założył również ambulatorium dla ubogich, w którym mogli oni korzystać z bezpłatnych usług lekarskich. W „Kurierze Warszawskim” zainicjował zbiórkę na rzecz odbudowy spalonej wieży kościoła jasnogórskiego oraz budowę pomnika Adama Mickiewicza w Warszawie. Należał do członków Zgromadzenia Drukarzy Warszawskich, wspierając je finansowo, a które po śmierci wydawcy dysponowało Funduszem jego imienia.

Po śmierci pierwszej żony Ernestyny, Lewental ożenił się po raz drugi. Jego druga żona Hortensja, córka bankiera, a zarazem wielkiego miłośnika sztuki Mathiasa Bersohna, będąc osobą inteligentną i wykształconą, prowadziła otwarty Salon Towarzystwa, gromadzący w domu Lewentalów co niedziela śmietanką intelektualną Warszawy. Na rok przed śmiercią Lewental wraz z całą rodziną przeszedł na katolicyzm, otrzymując na chrzcie imiona Franciszek Salezy. Z powodu choroby serca wydawca zmuszony został do wyjazdu na kurację do Wiesbaden, gdzie wkrótce zmarł 24 września 1902 r. Zwłoki jego przewieziono do Warszawy i pochowano na Powązkach<sup>20</sup>. Jego drukarnię mieszcząca się przy ulicy Nowy Świat 41 jeszcze w tym samym roku nabył Piotr Laskauer<sup>21</sup>.

Księgarnia nakładowa Salomona Lewentala istniała jeszcze co najmniej 12 lat po jego śmierci, gdyż oblicza się, iż w okresie od 1878 do 1914 roku nakładem firmy sygnowanej jego nazwiskiem ukazało się 285 pozycji nakładowych i 27 pozycji wydawniczo-drukarskich<sup>22</sup>.

Współcześni Lewentalowi oceniali jego działalność wydawniczą w dwojaki sposób. Pisarze i publicyści chwalili go za uczciwe płacenie honorariów autorskich. Byli jednak również wśród nich przeciwnicy tej teorii twierdzący, iż na wyzysku literatów dorobił się on fortuny. Ponadto zarzucano wydawcy dwulicowość, która wyrażała się w prezentowaniu odmiennych postaw światopoglądowych w każdym z wydawanych przez siebie czasopism<sup>23</sup>.

<sup>20</sup> B. Szyndler: *Tygodnik...*, s. 36.

<sup>21</sup> J. Polańska: *Lewental...*, s. 511.

<sup>22</sup> *Lewental Salomon. W: Encyklopedia Wiedzy o Książce.* Pod red. A. Birkenmajera, B. Kocowskiego, J. Trzynadlowskiego. Wrocław 1971, s. 1388.

<sup>23</sup> B. Szyndler: *Tygodnik...*, s. 37.

## 2.2: Redaktorzy pisma

To tyle, jeśli chodzi o prezentację życia i działalności edytorskiej twórcy, właściciela i członka redakcji *Czasopisma Ilustrowanego Tygodniowego „Kłósy”*. Skupmy teraz swoją uwagę na tych, bez których niemożliwe byłoby istnienie i funkcjonowanie tygodnika, a mianowicie na członkach komitetu redakcyjnego pisma.

Jak już wspomniano w poprzednim rozdziale, po zawiązaniu się spółki na wydawanie „Kłósów”, jej właściciele, a więc S. Lewental, W. Ostrowski, Z. Wójcicki oraz W. Japowicz powołali do życia redakcję pisma. Prócz wyżej wymienionych twórców tygodnika zasiadali w niej również: powszechnie znany i ceniony historyk i krytyk literacki, profesor historii literatury powszechnej w warszawskiej Szkole Głównej, a następnie na Uniwersytecie Warszawskim Fryderyk Henryk Lewestam, krytyk, tłumacz i były współpracownik „Gazety Polskiej” Marian Chrzanowski, któremu powierzono korekty i dbałość o stylistyczną poprawność zamieszczanych na łamach periodyka tekstów, malarz, ilustrator, a zarazem twórca pierwszej winiety tytułowej „Kłósów”, pierwszy kierownik artystyczny tygodnika Bronisław Kamiński i wreszcie pełniący w periodyku funkcję recenzenta muzycznego, dyrygent i kompozytor Stanisław Duniecki. Ogromnym osiągnięciem redakcji było pozyskanie dla pisma znanego i bardzo popularnego w drugiej połowie XIX wieku literata, publicysty, redaktora naczelnego „Biblioteki Warszawskiej”, współpracownika wielu warszawskich periodyków, ojca współzałożyciela tygodnika Zygmunta, Kazimierza Władysława Wójcickiego. To on właśnie w dużej mierze przyczynił się do narzucenia kierowanemu przez siebie czasopismu stylu i programu pracy, jakie realizowało pismo od początku istnienia<sup>24</sup>.

Skład komitetu redakcyjnego „Kłósów” ulegał co pewien czas zmianom. Ubywali jedni członkowie, a na ich miejsce pojawiali się nowi. W pierwszym roku egzystencji czasopisma, w październiku redakcja poszerzyła się o poetę Aleksandra Michauxa, podpisującego swoje utwory pseudonimem „Miron”. W kwietniu roku 1866 tygodnik opuścił F. H. Lewestam. W tym też okresie do redakcji dołączyli: dramaturg Zygmunt Józefowicz-Hlebicki, pedagog August Jeske, prozaik Felicjan Faleński oraz adwokat, publicysta, a zarazem szwagier Lewentala – Maksymilian Glücksberg. W lipcu tegoż samego roku w pracach redakcyjnych przestali uczestniczyć Zygmunt

<sup>24</sup> B. Schnaydrowa: *Fragmenty korespondencji „Kłósów” w zbiorze autografów Cypriana Walewskiego.* „Rocznik Biblioteki PAN” 1989, s. 73.

Wójcicki i Władysław Japowicz. We wrześniu powrócił do redakcji Lewestam, a zniknęli z niej Jeske i Faleński. W czerwcu 1867 r. pismo opuszcza trzeci ze współzałożycieli tygodnika Wiktor Ostrowski. Do końca roku 1871 skład redakcji nie ulegnie zmianom. Na początku roku 1872 w redakcji zasiadali: kierownik literacki: Kazimierz Władysław Wójcicki, wydawca Salomon Lewental, sekretarz redakcji Maksymilian Glücksburg, główny krytyk literacki Fryderyk Henryk Lewestam, a także Edward Lubowski, Stanisław Krzemiński i Marcin Olszyński. Skład ten dotrwał do końca roku 1873. Pod koniec roku 1874 redakcję opuścił jej dotychczasowy sekretarz, a na jego miejsce z dniem 1 stycznia 1875 pojawił się w charakterze współredaktora powieściopisarz Adam Pług. W tym też czasie periodyk pozyskał do współpracy znanego filozofa Henryka Struvego, który opuścił jednak pismo już pod koniec roku 1876. Z początkiem roku 1879 z prowadzenia stałego działu pisma zatytułowanego *Pokłosie* zrezygnował Edward Lubowski, jego miejsce zajął literat i felietonista Marian Gawalewicz. W tym samym roku po zmarłym w grudniu roku 1878 Lewestamie obowiązki recenzenta teatralnego „Kłosów” przejął redaktor naczelny innego wydawanego przez Lewentala czasopisma „Tygodnika Romansów i Powieści” Kazimierz Kaszewski. W roku 1879 do redakcji dołączyli również: przyrodnik, profesor Uniwersytetu Warszawskiego Karol Jurkiewicz oraz historyk Tadeusz Korzon. W dniu 31 lipca 1879 roku umiera K. W. Wójcicki. Funkcję kierownika literackiego „Kłosów” przejmie A. Pług. 20 stycznia roku następnego redakcja pozyskała dalszych, nowych członków: krytyka literackiego, nowelistę Kazimierza Łuniewskiego oraz prawnika i publicystę Adama Niemirowskiego. W grudniu roku 1882 pierwszy z wyżej wymienionych redaktorów opuścił jednak tygodnik. „Kłosy” w tym samym okresie porzucił również M. Gawalewicz, obejmując funkcję redaktora naczelnego „Tygodnika Powszechnego”. Dział *Pokłosia* przejął po nim krytyk literacki, a jednocześnie aktor dramatyczny Józef Kotarbiński. W maju roku 1889 z pracy w periodyku zrezygnował A. Niemirowski, a pełniąca przez niego funkcję sekretarza redakcji przejął, agronom i powieściopisarz Franciszek Rawita-Gawroński<sup>25</sup>.

W ciągu bez mała 25-letniej historii istnienia czasopisma 4-krotnie zmieniali się jego kierownicy artystyczni. Już w pierwszym roku ukazywania się „Kłosów” z funkcji kierownika artystycznego zrezygnował Bronisław Kamiński. Jego miejsce zajął piastujący to stanowisko, aż do roku 1886 Marcin Olszyński. Po nim stołek kierownika artystycznego tygodnika przejął

<sup>25</sup> S. Lewental: *Kartka z historii „Kłosów”*. „Kłosy” 1890 nr 1304, s. 402–407.

malarz i publicysta Stanisław Witkiewicz, pełniący tę funkcję tylko przez rok, ustępując miejsca grafikowi i rytownikowi Józefowi Holewińskiemu, który wytrwał na tym stanowisku, aż do likwidacji pisma w roku 1890<sup>26</sup>.

Pomimo licznych roszad personalnych zachodzących w Komitecie redakcyjnym tygodnika, nie ulega wątpliwości fakt, iż zawsze najdonośniejszą rolę pełnili w nim kierownicy literaccy pisma, a więc początkowo Kazimierz Władysław Wójcicki, później zaś Adam Pług. Przypomnijmy zatem ich biografie.

Kazimierz Władysław Wójcicki urodził się 3 marca 1807 r. w Warszawie<sup>27</sup>. Tutaj ukończył też Kolegium Pijarów, a następnie zapisał się na Wydział Chemiczny Instytutu Politechnicznego. W tym też czasie uczęszczał na wykłady z prawa i literatury na Uniwersytecie Warszawskim prowadzone przez Kazimierza Brodzińskiego i Ludwika Osińskiego. Będąc pod ich wrażeniem, zrezygnował po 2 latach ze studiów politechnicznych i całkowicie poświęcił się literaturze. Od roku 1827 rozpoczął współpracę z „Dziennikiem Warszawskim”, publikując na jego łamach wiele artykułów. W latach 1829–1830 zwiedził Galicję, Słowację, Czechy, Morawy, Śląsk austriacki, Serbię i Chorwację. Podróżując Wójcicki zbierał jednocześnie pieśni, podania i legendy ludowe, co zaowocowało wydaniem 2-óch pokaźnych 4-tomowych dzieł: najpierw w roku 1840 ukazały się *Stare gawędy i obrazy*, a 2 lata później *Zarysy domowe*. Materiały zawarte w wyżej wymienionych książkach były wcześniej publikowane we fragmentach w różnych czasopismach. W roku 1831 Kazimierz osiedlił się w Załuczu nad Prutem, gdzie rok później poślubił siostrę swojego bliskiego przyjaciela Dominika Magnuszewskiego – Annę. W roku 1835 przeniósł się do Jachronki koło Zegrza, gdzie pracował jako zarządca cegielni Banku Polskiego. Później przez 4 lata dzierżawił majątek Górę k. Modlina. Na stałe osiedlił się w Warszawie w roku 1843. Dzięki protekcji dyrektora Komisji Rządowej Sprawiedliwości Onufrego Wojciechowskiego otrzymał posadę głównego archiwisty i bibliotekarza Senatu. Później powierzono mu również funkcję dyrektora drukarni tejże komisji i redaktora „Dziennika Praw”. Niestety nowy dyrektor Komisji Sprawiedliwości, margrabia Aleksander Wielopolski, reorganizując swój resort zwolnił Wójcickiego, pozbawiając go jednocześnie rocznej pensji w wysokości 11 000 złp oraz mieszkania. Pisarz znalazł się w bardzo trudnej sytuacji materialnej. W sukurs przyszli mu jednak koledzy literaci, wydając *Książkę zbiorową*, w której znalazły się prace aż 50 literatów, a wśród w nich m.in. Józefa Ignacego Kraszewskiego, Cypriana

<sup>26</sup> Tamże.

<sup>27</sup> B. Szyndler: *Tygodnik...*, s. 40.

Kamila Norwida, Teofila Lenartowicza. Dochód ze sprzedaży tego dzieła przekazano na ręce Wójcickiego. Ogólnie szanowany i lubiany pisarz nie pozostawał długo bez zajęcia. Wkrótce wybrano go na prezesa Komitetu Właścicieli Listów Zastawnych przy Dyrekcji Głównej Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, którą to funkcję pełnił aż do śmierci.

Wójcicki był niezwykle płodnym i pracowitym literatem. Udzielał się na wielu płaszczyznach twórczości literackiej. Był on m.in. współzałożycielem w roku 1841 miesięcznika naukowo-literackiego „Biblioteka Warszawska”, by w roku 1850 zostać jego redaktorem naczelnym. W roku 1859 rozpoczął pracę w Komitecie redakcyjnym *Encyklopedii Powszechnej* Samuela Orgelbranda i w redakcji nowo powstałego czasopisma „Tygodnika Ilustrowanego”. W roku 1844 Wójcicki wydał 5-tomową *Bibliotekę starożytną pisarzy polskich* zawierającą wybór listów i pamiętników oraz utworów z XVI i XVII wieku dotyczących polskiej literatury i historii. W roku 1845 redagował nagrodzony pierwszym miejscem na Wystawie Sztuk Pięknych w Warszawie *Album Warszawskie* z ilustracjami drzeworytowymi Wincentego Smokowskiego, wydany przez Stanisława Strąbskiego. W latach 1848–1849 wydał 2-tomowy zbiorowy *Album literackie* poświęcony dziejom i literaturze rodzimej. Na szczególną uwagę spośród wielu jego prac zasłużyły sobie zwłaszcza: 3-tomowe *Przysłowia narodowe z wyjaśnieniem źródła, początku oraz sposobu ich użycia* z roku 1830, 2-tomowe *Klechy starożytne, podania i powieści ludu polskiego i Rusi* z roku 1837, 2-tomowy *Teatr starożytny w Polsce* z roku 1841, a także 3-tomowy *Cmentarz Powązkowski* z lat 1855–1858<sup>28</sup>.

W niedługim czasie po założeniu w roku 1865 *Czasopisma Ilustrowanego Tygodniowego „Kłosa”* Wójcicki opuścił redakcję „Tygodnika Ilustrowanego” przenosząc się do „Kłosów”. Tutaj też objął stanowisko kierownika literackiego pisma, którą to funkcję pełnił aż do śmierci. Od początku współpracy z czasopismem artykuły jego autorstwa zasilają szereg działów tygodnika. Na potrzeby „Kłosów” pisywał on m.in. zyciorysy i nekrologi wybitnych Polaków, szkice historyczne, artykuły krajoznawcze i opisy zabytków, podania i wierzenia ludowe, obrazki obyczajowe, opowiadania jak również ciekawostki z przeszłości Warszawy. Jak więc widać, odgrywał on dominującą rolę jako publicysta tygodnika, wypełniając jego łamy materiałami o bardzo zróżnicowanej treściowo tematyce. Artykuły Kazimierza Wójcickiego odznaczały się kompilacyjnym charakterem, nie przedstawiając jednocześnie wielkiej wartości naukowej. Niewątpliwie wpływ na to miał fakt, iż materiały wykorzystane przy ich pisaniu pochodziły

głównie ze starych czasopism, kalendarzy, pamiętników i almanachów, w których dominowały w znacznej mierze legendy i podania, traktowane przez autora jako wiarygodne źródła historyczne. Styl pisarski Wójcickiego okraszony anegdotami i ciekawostkami zyskał sobie wielu zwolenników o niezbyt wyrafinowanym guście literackim. Dzięki tematyce jego artykułów nawiązującej do świetlanej przeszłości Rzeczypospolitej, „Kłosa” czytane były również na dworach szlacheckich, gdzie miały wielu prenumeratorów. Ogromna zasługą Wójcickiego było to, iż potrafił on opisywać tematy historyczne w sposób apolityczny, nie wzbudzający zastrzeżeń carskiej cenzury, przez co pomimo niewielkiej dbałości o fakty historyczne, przynajmniej częściowo jednak przybliżał w swych artykułach dzieje polskiego narodu i jego kultury.

W roku 1876 „Kłosa” postanowiły uczcić 50-lecie działalności swojego redaktora na polu literackim. Z tej okazji ukazało się pamiątkowe, niezwykle okazałe wydanie *Klechd ludowych* drukowanych na papierze welinowym. Wydawnictwo to ozdobione było portretem autora oraz 10-ciomą drzeworytowymi ilustracjami ręki tak wybitnych artystów jak: Michał Elwiro Andriolli, Wojciech Gerson, Henryk Pillati, Feliks Sypniewski, Stanisław Witkiewicz. Dzieło to wydane już po raz 3 za życia autora (1 wyd. w roku 1837, 2 w roku 1851) wzbogacone i uzupełnione przez niego podawało na końcu spis wszystkich subskrybentów, którzy uiszcili na nie przedpłatę w wysokości 3 rubli. Ponadto w 568 numerze „Kłosów” zamieszczono portret Kazimierza Władysława Wójcickiego wraz z jego zyciorysem autorstwa Adama Pługa, a w dwóch kolejnych numerach obszerną charakterystykę twórczości literackiej jubilatą pióra Fryderyka Henryka Lewestama.

Wójcicki zmarł 3 lata później, 31 lipca 1879 r. Po jego śmierci funkcję kierownika literackiego tygodnika wydawca periodyka powierzył w ręce powieściopisarza, poety i tłumacza Adama Pługa<sup>29</sup>.

Adam Pług (właśc. Antoni Pietkiewicz) urodził się 23 października 1823 r. we wsi Zamość w guberni mińskiej<sup>30</sup>. Pochodził on ze szlacheckiej rodziny herbu Trąby. W roku 1831 ojciec późniejszego pisarza otrzymał posadę podłowczego w dobrach radziwiłłowskich i przeniósł się wraz z całą rodziną do wsi Żukowy Borek. Tutaj też młody Adam zaprzyjaźnił się około 1840 roku z synem dzierżawcy pobliskiego folwarku Załucze, Ludwikiem

<sup>28</sup> Tamże, s. 40–43.

<sup>29</sup> Tamże, s. 43–45.

<sup>30</sup> E. Deresz: *Pietkiewicz Antoni*. W: *Polski Słownik Biograficzny*. Pod red. E. Rostworowskiego. T. 26. Wrocław 1981, s. 150.



Kondratowiczem słynnym później poetą piszącym pod pseudonimem Władysław Syrokomla. Z fascynacji jego osobą powstały na początku lat czterdziestych XIX wieku pierwsze utwory literackie Pługa, sielankowe obrazki najbliższego otoczenia poety, a więc jego domu i przyjaciół. W latach 1835–1842 uczęszczał Pług do gimnazjum w Słucku. Po jego ukończeniu rozpoczął pracę jako guwerner na Podolu. W roku 1845 zaczął studiować w charakterze wolnego słuchacza na Wydziale Filozoficzno – Literackim Uniwersytetu Kijowskiego. Studia te jednak porzucił już po roku ze względu na trudną sytuację materialną. Nie mogąc kontynuować nauki powrócił na wieś, osiedlając się w Dżurynie na Podolu, kontynuując jednocześnie wcześniej przerwana pracę w charakterze prywatnego nauczyciela. Od tego też czasu poświęcił się całkowicie działalności literackiej. Wiersze i gawędy Pługa zaczęły się ukazywać w wydawanym w Wilnie dwumiesięczniku naukowo-literackim J. I. Kraszewskiego „Athenaeum”. Zostały one zresztą potem wydane w formie 3 odrębnych zbiorów: *Zagon roślinny. Zbiór obrazków, gawęd, fraszek rymowanych i nie rymowanych* (Wilno 1854, t. 1–3), *Kłosa z rodzinnej niwy zebrane przez...* (Wilno 1856), a także *Pamiętki domowe* (Wilno 1858 oraz pod zmienionym tytułem na *Głos z Litwy* – Mińsk 1859). Za właściwy debiut literacki Pługa przyjęło się uważać napisane w roku 1844, a wydane drukiem 3 lata później w Wilnie opowiadanie *Wigilia świętego Jana*. W roku 1849 ukazało się na łamach „Atheaneum” opowiadanie *Spowiedź. Ustęp z życia mego przyjaciela*, pod którym pisarz po raz pierwszy podpisał się swoim literackim pseudonimem<sup>31</sup>.

W roku 1856 Pług spędził kilka miesięcy na Litwie. W roku następnym ożenił się z córką referenta w Komisji Rządowej Sprawiedliwości w Królestwie Polskim Ludwiką Sierżputowską. Tego samego roku wziął w dzierżawę wieś Potok pod Winnicą. W 2 lata później przeniósł się wraz z żoną do Żytomierza, gdzie założyli gimnazjum męskie z pensjonatem. Tutaj też Pług zetknął się po raz pierwszy z poważniejszym środowiskiem literackim, w skład którego wchodził m.in. Jan Prusinowski, Aleksander Groza, Leonard Sowiński, Apollo Korzeniowski i Józef Ignacy Kraszewski. Na początku lat 60-tych pisarz przystąpił do wydawania przewidzianego na 6 tomów *Zupełnego zbioru pism swoich*, z których jednak tylko 2 doczekały się publikacji (Żytomierz 1862, Wilno 1863). Na przeszkodzie opublikowaniu pozostałych części stanęło zaangażowanie Pługa w sprawę organizacji powstania styczniowego. Na podstawie przejętego przez carskie władze listu, z którego wynikało, iż prowadził on na terenie Żytomierza agitację polityczną, został w roku 1864 wtrącony do więzienia w Kijowie. Dwuletni

<sup>31</sup> Tamże.

pobyt w więzieniu na był jednak dla Pługa czasem straconym. Prowadził on bowiem tutaj studia nad językiem angielskim, czego owocem stały się później tłumaczenia dzieł W. Szekspira: *Burzy* (Kijów 1868), *Króla Lira* (Lwów 1870) oraz publikowanego na łamach „Kłosów” w roku 1871 *Makbeta*, a także pojedynczych sonetów drukowanych w tymże tygodniku w roku 1866 i w „Świcie” w latach 1884–1885, ze względu na swą polityczną przeszłość, po opuszczeniu więziennych murów miał Pług ogromne trudności ze znalezieniem pracy. W roku 1868, tuż po śmierci żony, pisarz ponownie powrócił do pracy jako guwerner na Podolu.

Jeśli chodzi o działalność na polu literackim Adam Pług zyskał popularność i uznanie współczesnych mu miłośników literatury głównie twórczością powieściową, na którą składały się m.in. takie jego utwory jak: *Duch i krew. Kilka zarysów z życia towarzyskiego* wydany w 3 tomach w roku 1859 w Wilnie, a następnie w roku 1897 w Warszawie, oraz drukowany w odcinkach w „Kłosach” w latach 1866–1867 *Oficjalista. Szkice obyczajowe z niedalekiej przeszłości*, który doczekał się również osobnych wydań warszawskich w latach 1873 i 1896.

W grudniu roku 1874 Pług został ściągnięty do Warszawy przez wydawcę „Kłosów” Salomona Lewentala, gdzie w niedługim czasie stał się jedną z najpopularniejszych osobistości tamtejszego środowiska literackiego<sup>32</sup>. Zamieszkał w domu Lewentala, przy ulicy Widok, dzieląc mieszkanie z poetą Leonardem Sowińskim, znanym mu już z Żytomierza<sup>33</sup>. Pisarz zaczął czynnie uczestniczyć w życiu kulturalnym Warszawy, angażując się w pracę rozlicznych komitetów konkursowych i jubileuszowych. Ponadto piastował funkcję prezesa Kasy Pożyczkowej dla literatów przy warszawskim Towarzystwie Dobroczynności oraz był honorowym członkiem Kasy literackiej i korespondentem Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu. Opiekował się początkującymi literatami, ułatwiając im publikację utworów i organizując pomoc materialną, tak jak w przypadku początkującej pisarki Marii Konopnickiej. Dzięki niezliczonej ilości inicjowanych przez niego akcji charytatywnych zjednał sobie powszechny szacunek współczesnych, nawet tych, którzy nisko oceniali jego twórczość literacką, a także piętnowali go za głoszone poglądy. Od roku 1875 do roku 1879 współredagował „Kłosa”, a po śmierci K. W. Wójcickiego objął kierownictwo nad tym pismem. Podobną funkcję w latach 1891–1903 pełnił w redakcji *Wielkiej Encyklopedii Powszechnej Ilustrowanej*, w międzyczasie w latach 1894–1899 pracował również jako kierownik literacki

<sup>32</sup> Tamże, s. 150–151.

<sup>33</sup> B. Szyndler: *Tygodnik...*, s. 47.



„Wędrowca”, a następnie w latach 1899–1903 udzielał się w pracach redakcyjnych „Kuriera Warszawskiego”. Redakcyjna działalność Pługa odbywała się ze szkodą dla jego twórczości literackiej. W okresie warszawskim nie napisał on bowiem żadnych nowych utworów. Na łamach redagowanych przez niego pism pojawiały się jedynie przedruki dawniejszych utworów pisarza, a także okolicznościowe artykuły, wspomnienia i życiorysy<sup>34</sup>.

Pod koniec roku 1877 A. Pług wystąpił z propozycją wydania *Książki jubileuszowej dla uczczenia 50 letniej działalności literackiej Józefa Ignacego Kraszewskiego*. W rok później zawiązał się komitet redakcyjny planowanego wydawnictwa<sup>35</sup>. W skład redakcji weszli autorzy reprezentujący warszawskie, krakowskie i lwowskie środowiska literackie, a także współpracownicy „Kłosów”: Edward Lubowski, Kazimierz Kaszewski, Henryk Struve oraz Józef Holewiński, Jan Styfi i Bronisław Puc którzy zajęli się szatą graficzną i ozdobili rysunkami życiorys J. I. Kraszewskiego autorstwa inicjatora i współredaktora wydania Adama Pługa. Książka ukazała się w Warszawie w roku 1880<sup>36</sup>.

Warszawskie środowisko literackie 2-krotnie uhonorowało twórczy wysiłek Pługa na niwie literackiej: w 1887 r., kiedy to obchodzono 40-lecie i w 1897 r. 50-lecie jego pracy w służbie literaturze.

Adam Pług zmarł 2 listopada 1903 roku w Warszawie<sup>37</sup>. Tak więc w 13 lat po zamknięciu „Kłosów” odszedł na zawsze ten, który przez umiejętne dobieranie materiałów w redagowanym przez siebie tygodniku zapewnił mu, pomimo silnej konkurencji na warszawskim rynku prasowym, wysoką pozycję i znaczną popytność<sup>38</sup>.

### 2.3: Prace komitetu redakcyjnego tygodnika

Kończąc charakterystykę życia i działalności dwóch redaktorów tygodnika ilustrowanego „Kłosy” warto zwrócić uwagę na fakt, iż inaczej pod ich kierunkiem redakcyjnym wyglądała sprawa doboru pomieszczanych w periodyku materiałów. Okres, w którym funkcję redaktora naczelnego sprawował K. W. Wójcicki, charakteryzował się w zakresie doboru materiałów preferencjami dla szeroko rozumianej tradycji, zaś okres

piastowania tegoż stanowiska przez A. Pługa charakteryzowała większa dbałość o uwspółcześnienie pisma<sup>39</sup>.

Przyjmyśmy się teraz jak wyglądały prace koordynowanego przez nich komitetu redakcyjnego tygodnika.

Niezwykle cennym źródłem dla poznania zasad funkcjonowania i organizacji pracy redakcyjnej czasopisma jest zachowana i przechowywana do dzisiaj w Bibliotece Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika w Toruniu *Księga sesyjna „Kłosów”* (rkps, sygn. 883, t. 1–2). Zawiera ona 604 sprawozdania z posiedzeń redakcyjnych z okresu od 18 maja 1865 do 3 maja 1888 r. Notatki te są jednak bardzo zwięzłe i niedokładne, a niekiedy nawet mało czytelne. W sprawozdaniach z zebrań redakcyjnych, inaczej zwanych sesjami podawano następujące informacje: numer posiedzenia, jego dokładną datę (dzień, miesiąc, rok), listę osób uczestniczących w zebraniach, najważniejsze postanowienia tzw. uchwały dotyczące pisma, tytuły czytanych artykułów, nazwiska bądź pseudonimy ich autorów, informacje dotyczące akceptacji, bądź odrzucenia tekstów, przyjęty układ treści kolejnego numeru „Kłosów”, datę najbliższego posiedzenia oraz podpisy obecnych. Niekiedy jednak brak jest w sprawozdaniach wielu istotnych szczegółów takich jak np.: numer posiedzenia, data czy niepełna lista uczestników.

Kierownictwo literackie nad pismem sprawował komitet redakcyjny, na czele którego stał kierownik literacki faktycznie pełniący rolę redaktora naczelnego tygodnika. Jednakże decydujący głos przy podejmowaniu istotnych uchwał dotyczących pisma należał do jego wydawcy – S. Lewentala, który aktywnie uczestniczył w zebraniach komitetu redakcyjnego. Posiedzenia redakcji odbywały się względnie regularnie, rzadziej jednak niż przewidywała to uchwała z 21 maja 1865 roku, mówiąca o 2 sesjach w tygodniu. Tylko początkowo w okresie nadmiernego nagromadzenia spraw organizacyjnych związanych z pojawieniem się pisma na rynku prasowym częstotliwość ta utrzymywała się. Po roku 1878 zebrania redakcyjne odbywały się co najwyżej 3–4 razy w miesiącu, a w wyjątkowych przypadkach organizowano tzw. posiedzenia nadzwyczajne. W okresie urlopowym zebrania odbywały się jeszcze rzadziej, bo tylko 2–3 razy na miesiąc. Od roku 1880 spotkania redakcyjne zostały okrojone tylko i wyłącznie do 2 zebrań miesięcznie. Być może wpływ na taki stan rzeczy miało to, iż redaktorzy i współpracownicy „Kłosów” w tym okresie spotykali się co tydzień w salonach Lewentala.

Do rady redakcyjnej tygodnika, oprócz jego wydawcy, należeli dwaj kolejno pełniący funkcje redaktorów naczelnych pisarze: K. W. Wójcicki

<sup>34</sup> E. Deresz: *Pietkiewicz...*, s. 150–151.

<sup>35</sup> B. Szyndler: *Tygodnik...*, s. 53.

<sup>36</sup> E. Malinowska: *Problematyka...*, s. 32.

<sup>37</sup> E. Deresz: *Pietkiewicz...*, s. 151.

<sup>38</sup> Z. Kmiecik: *Prasa...*, s. 115.

<sup>39</sup> E. Malinowska: *Problematyka...*, s. 9.

i A. Pług. Listy członków redakcji sporządzane na sesjach wykazują, iż stałymi ich uczestnikami byli przede wszystkim: Kazimierz Władysław Wójcicki, Adam Pług, Salomon Lewental, Fryderyk Henryk Lewestam, Marcin Olszyński, Maksymilian Glücksberg, Wiktor Ostrowski, Aleksander Michaux, Edward Lubowski, Kazimierz Kaszewski, Stanisław Krzemiński. Na podstawie *Księgi sesyjnej* nie ma możliwości odtworzenia pełnej listy członków rady, gdyż protokoły nie zawsze odnotowywały zmiany składu i funkcji pełnionych w redakcji. Prócz członków komitetu redakcyjnego w zebraniach uczestniczyli ponadto tzw. stali współpracownicy pisma, zwłaszcza zaś autorzy stałych działów tygodnika, nie będący jednocześnie członkami redakcji, autorzy czytanych na sesjach artykułów oraz zaproszeni goście cieszący się znacznym autorytetem w warszawskim środowisku literackim, a także osoby, które chciano pozyskać do prac nad redagowaniem periodyka<sup>40</sup>.

Pierwsze posiedzenie komitetu redakcyjnego „Kłosów” o charakterze organizacyjnym odbyło się 18 maja 1865 r. Wtedy to zaakceptowano *Prospekt* reklamowy tygodnika autorstwa Lewestama, ustalono nazwiska korespondentów redakcyjnych spoza Królestwa Polskiego, skompletowano zespół współpracowników oraz nawiązano kontakty z potencjalnymi autorami materiałów mających być publikowanymi na łamach tygodnika. Już pierwsze posiedzenia redakcyjne ustaliły porządek obrad, który nie uległ zmianie, aż do ostatnich zarejestrowanych w *Księdze sesyjnej* sprawozdań z sesji. Najpierw więc odczytywano tzw. główny felieton lub artykuł wstępny, który miał być zamieszczony w najbliższym, będącym w przygotowaniu numerze. Później zapoznawano się z pozostałymi artykułami, a także ze zleconymi na uprzednich zebraniach recenzjami nadsyłanych do redakcji materiałów. Ostatnim punktem redakcyjnej sesji było ustalenie jednego lub dwóch kolejnych numerów czasopisma.

W redakcji „Kłosów” nigdy nie narzekano na brak materiałów przeznaczonych do publikacji. Ich dobór uzależniony był od takich kryteriów jak: atrakcyjność, aktualność i oryginalność zawartych w nich treści. Część materiałów nie mających nigdy ukazać się na łamach tygodnika odsyłano do redakcji „Tygodnika Romansów i Powieści”, bądź „Bluszcza”. Często zdarzało się również, iż materiały przyjęte do druku w „Kłosach” na skutek napływu nowych, bardziej aktualnych tekstów po ponownym rozpatrzeniu przez członków redakcji odrzucano. Początkowo o przyjęciu artykułu do druku decydowała zwykle opinia jednego redaktora, zdarzało się jednak i tak, iż materiał dopuszczano do publikacji na podstawie pisemnych recenzji

sporządzonych przez dwóch redaktorów. Z czasem decyzje takie zaczęto podejmować kolegialnie na podstawie opinii wszystkich członków komitetu redakcyjnego. Celem usprawnienia i przyspieszenia pracy redakcyjnej na jednej z sesji podjęto uchwałę o prowadzeniu *Księgi artykułów*, w której miały się znaleźć: tytuły tekstów, daty ich nadesłania do redakcji i odczytu na zebraniach, uwagi recenzentów i ostateczne decyzje dotyczące postanowień rady, co do ich dalszego losu. Drobne artykuły czy też wiersze nie przyjęte do druku, jeżeli autor nie zastrzegł sobie ich zwrotu były niszczone. Większe teksty jak powieści i tłumaczenia literackie zwracano autorom, przekazując je do kantoru drukarni. Nie odebrane jednakże z tamąd w przeciągu 3 miesięcy również niszczone. Nie rzadko zdarzało się również i tak, iż pomimo braku jednogłośnej akceptacji co do publikacji niektórych tekstów, drukowano je ze względu na osobę autora. O braku akceptacji materiałów decydowały bardzo często względy merytoryczne. Nagminnie zdarzało się, iż rada redakcyjna samowolnie nanosiła poprawki do nadesłanych na adres redakcji materiałów, nie wykluczając przy tym tekstów czysto literackich. Czasami rezygnowano nie tylko z publikacji niektórych artykułów, ale również ze współpracy z ich autorami, zarzucając im brak solidności, tłumacząc to koniecznością przeprowadzania w ich tekstach zbyt dużej liczby poprawek. Odrzuceniu podlegały nie tylko prace o niskich walorach estetycznych, ale również poruszające „drażliwą” problematykę narodowościową bądź wyznaniową, jak również ukazujące stosunki panujące w warszawskim środowisku literacko-wydawniczym.

Sprawne działanie redakcji tygodnika utrudniała w znacznym stopniu carska cenzura. Interwencje cenzorów narażały bowiem niejednokrotnie redakcje warszawskich czasopism na konfiskaty niekiedy nawet całego nakładu numeru pisma, a także na ochłodzenie stosunków panujących na linii redakcja – autor. Aby temu w jakiś sposób zapobiec, redaktorzy starali się uprzedzić działania cenzury urzędowej, usuwając fragmenty tekstów mogące wzbudzić podejrzenia władz, informując jednocześnie o tym ich autorów. Pomimo tego rodzaju działań redaktorzy obawiając się w dalszym ciągu interwencji Warszawskiego Komitetu Cenzury, by nie opóźnić druku numeru mieli zawsze w zanadrzu przygotowane teksty zastępcze. Dużo jednak większy kłopot wynikał z ingerencji cenzury w repertuar zamieszczanych na łamach tygodnika materiałów ilustracyjnych, co mogło spowodować znaczne opóźnienie ukazania się numeru. W takiej sytuacji, gdy istniały podejrzenia co do

<sup>40</sup> H. Natora-Macierewicz: *Księga...*, s. 35–38.

niektórych ilustracji, iż mogą one wzbudzić sprzeciw cenzorów decyzja ich publikacji pozostawała w gestii wydawcy „Kłosów”<sup>41</sup>.

Podtytuł tygodnika *Czasopismo Ilustrowane Tygodniowe* obligował wręcz jego redakcję do umieszczania w każdym numerze odpowiedniej ilości ilustracji. Na opóźnienie druku czasopisma, nie licząc kłopotów z cenzurą mogło mieć więc również wpływ nie wywiązywanie się przez drzeworytników z terminów dostarczania do redakcji powierzonych im do wykonania ilustracji. By ich jednak do tego zmusić, komitet redakcyjny na podstawie uchwały z dnia 30 grudnia 1865 r. postanowił założyć *Książkę kontroli wydawanych i przyjmowanych robót drzeworytniczych* oraz zdecydował, iż w przypadku nie wywiązania się z powierzonych prac w odnotowanych w książce terminach wynagrodzenie drzeworytnika mogło ulec zmniejszeniu o 3 grosze na calu ilustracji za każdy dzień opóźnienia. W sytuacji zaś, gdyby kierownik artystyczny pisma miał podstawy uważać, iż drzeworyt został wycięty niezgodnie z rysunkiem, wówczas zleceniobiorca zobowiązany był poprawić błąd w wyznaczonym terminie i dopiero wtedy mógł się spodziewać zapłaty. Decyzja ta została zakomunikowana każdemu drzeworytnikowi z osobna<sup>42</sup>.

Śledząc uważnie prace komitetu redakcyjnego „Kłosów”, nie sposób nie dostrzec faktu, iż była to działalność dobrze zorganizowana i na wskroś przemyślana. Niewątpliwie spory w tym udział samego wydawcy tygodnika Salomona Lawentala, który potrafił skupić wokół swego pisma fachową kadrę redakcyjną złożoną w głównej mierze z ludzi mających już spore doświadczenie w pracy redakcyjnej innych czasopism. Znający mechanizmy rządzące społecznym oddziaływaniem czasopism, a także orientujący się w gustach czytelnich odbiorców prasy, redaktorzy potrafili poprzez odpowiedni dobór pomieszczanych w tygodniku materiałów zapewnić mu sporą popularność, jaką niewątpliwie periodyk ten cieszył się niemal przez 25 lat istnienia.

## 2.4: Rytownicy, rysownicy, malarze, pisarze i korespondenci

W chwili założenia „Kłosów” w Warszawie istniały już 2 zakłady drzeworytnicze dostarczające materiałów ilustracyjnych do wydawanych w tym mieście czasopism i książek. Najstarszym z nich była drzeworytnia Jana Mönchheimera, z usług której korzystał tygodnik ilustrowany „Kłosy” za nim nie dorobił się własnego zakładu drzeworytniczego pod koniec

<sup>41</sup> Tamże, s. 38–43.

<sup>42</sup> B. Szyndler: *Tygodnik...*, s. 39 – 40

pierwszego roku egzystencji. Pierwszym kierownikiem drzeworytni tygodnika został uznany ksylograf koordynujący wcześniej pracę w drugim warszawskim zakładzie drzeworytniczym pozostającym na usługach „Tygodnika Ilustrowanego” – Aleksander Regulski. Po nim kierownictwo objął Jan Styfi, który zawodu drzeworytnika uczył się początkowo pod okiem Mönchheimera, a następnie celem doskonalenia się w tym kunszcie udał się do Lipska. Po powrocie do Warszawy znalazł zatrudnienie w drzeworytni „Tygodnika Ilustrowanego”, skąd w roku 1867, ulegając namowom teścia K. W. Wójcickiego, przeniósł się do drzeworytni „Kłosów”, obejmując tam jednocześnie stanowisko kierownicze. W ciągu 25-lecia istnienia tegoż periodyka w jego drzeworytni znalazło zatrudnienie wielu rytowników, a wśród nich m.in.: Stanisław Antoszewicz, Ignacy Chelmiński, Piotr Dyamentowski, Edward Gorazdowski, Józef Holewiński, Jan Krajewski, Kazimierz Krzyżanowski, Edward Machowski, Aleksander Malinowski, K. Mrówczyński, Edward Nicz, Kazimierz Piastuskiewicz, Kazimierz Pomianowski, Bronisław Puc, Franciszek Szymański, Jan Telakowski, Marceli Wiśniewski, Feliks Zabłocki czy Andrzej Zajkowski<sup>43</sup>. Ponadto z tygodnikiem współpracowało wielu innych drzeworytników wykonujących pojedyncze zamówienia. Spośród wymienionych wyżej rytowników najwyższy poziom prezentowali zwłaszcza: J. Styfi niezwykle pracowity i zdolny twórca kilkuset drzeworytów, E. Gorazdowski mistrz w oddawaniu na drzewie rysunków Juliusza Kossaka, E. Nicz wykonujący reprodukcję rysunków m.in.: M. E. Andriollego, B. Grabowskiego i H. Pillatiego oraz A. Zajkowski znakomity odtwórca ilustracji Andriollego, a także Teodora Axentowicza, Józefa Chelmońskiego, Wojciecha Gersona. Jednakże za najzdolniejszego spośród nich, a zarazem za jednego z najwybitniejszych rytowników polskich doby drzeworytu reprodukcyjnego uchodził Józef Holewiński<sup>44</sup>.

Urodził się on w Warszawie 17 marca 1848 r. Po ukończeniu gimnazjum uczył się rysunku i malarstwa u Wojciecha Gersona. W roku 1864 rozpoczął naukę rytownictwa pod okiem Jana Styfiego. W roku następnym podjął pracę w drzeworytni „Kłosów”, gdzie był zatrudniony przez cały okres istnienia pisma, sprawując w ostatnich latach ukazywania się tygodnika funkcję jego kierownika artystycznego. Jako najwybitniejszy polski ksylograf reprodukował dzieła prawie wszystkich wybitniejszych, współczesnych mu artystów polskich. O wysokim kunszcie jego dzieł decydowały zwłaszcza: czystość rysunku, miękkość linii, niezwykła subtelność światłocienia oraz

<sup>43</sup> B. Szyndler: *Tygodnik...*, s. 118–121.

<sup>44</sup> Tamże, s. 134.

indywidualne wycucie pierwowzoru. Holewiński cieszył się ogromną popularnością i uznaniem nie tylko na gruncie polskim. Wielokrotnie prezentował on swoje prace na wystawach drukarskich za granicą, m.in. w Berlinie, Wiedniu, Paryżu, a także w Monachium, gdzie nagrodzony został złotym medalem i w Petersburgu, gdzie z kolei wyróżniono go medalem srebrnym<sup>45</sup>.

By mogli zaistnieć tak wspaniali drzeworytnicy, jak Styfi czy Holewiński, potrzebni byli również rysownicy i malarze. Także w tym względzie „Kłosa” mogły pochwalić się współpracą z całą plejadą wspaniałych i powszechnie cenionych mistrzów ołówka i pędzla. Nie sposób więc nie wspomnieć o nich chociażby z dwóch powodów. Po pierwsze to oni, dostarczając do tygodnika materiały ilustracyjne, przyczynili się do nadania „Kłosom” rangi tworu wysoce artystycznego. Po drugie zaś wysoki poziom zawodowy prezentowany przez rysowników i malarzy współpracujących z periodykiem spowodował, iż większość z nich na trwałe wpisała się w historię polskiej sztuki rysunku i malarstwa.

Do najwybitniejszych polskich rysowników, a zarazem ilustratorów wieku XIX należał, urodzony 2 listopada 1836 r. w Wilnie syn Włocha i Polki Michał Elwiro Andriolli. Po ukończeniu gimnazjum w Wilnie rozpoczął on w roku 1855 studia w Moskiewskiej Szkole Malarstwa i Rzeźby. Za wykonany przez siebie w roku 1857 *Portret studenta* został uhonorowany przez petersburską Cesarską Akademię Sztuk Pięknych tytułem artysty malarza. W roku 1860 Andriolli udaje się do Rzymu, gdzie kontynuuje studia w Akademii Św. Łukasza<sup>46</sup>. W latach 1871–1883, współpracuje z wieloma czasopismami warszawskimi m.in. z: „Tygodnikiem Ilustrowanym”, „Biesiadą Literacką”, „Tygodnikiem Powszechnym”, a zwłaszcza z „Kłosami”. Tematyka rysunków Andriollego była ogromnie zróżnicowana. Rejestrowały one zarówno sceny rodzajowe z życia codziennego mieszkańców wsi, miast i miasteczek, wraz z obrzędami kościelnymi i zwyczajami ludowymi, jak również sceny batalistyczne i myśliwskie. Ponadto w swojej twórczości poświęcił sporo miejsca dla ukazania piękna rodzimych pejzaży i zabytków. Motywy fantastyczne, które można było podziwiać u Andriollego, zaczerpnięte były z baśni, ballad i podań ludowych. Znamienną cechą twórczości artysty były liczne obrazy ukazujące smutek i żalobę. Cała jego artystyczna spuścizna nacechowana była głębokim patriotyzmem. Pełne werwy rysunki Andriollego

o charakterystycznej krętej, zwichrzonej kresce, nie pozbawione teatralnych gestów i romantyczności wyrazu znamięowały wielki indywidualizm artysty. Michał Elwiro rysował na ogół ołówkiem lub tuszem z dodatkiem białego graszu na papierze Angera lub bezpośrednio na klockach drzeworytniczych. Prócz dostarczania ilustracji wielu poczytnym magazynom, artysta zasłynął jako ilustrator książek. Na wyróżnienie zasługują zwłaszcza takie ilustrowane przez niego dzieła jak: *Obrazki Syberii* Ludwika Niemojewskiego (1875), *Maria* Antoniego Malczewskiego (1876), *Meir Ezołowicz* Elizy Orzeszkowej (1878), *Stara baśń* (1879) i *Kunigas* (1882) Józefa Ignacego Kraszewskiego, *Pan Tadeusz* Adama Mickiewicza (1882), *Lilla Weneda* Juliusza Słowackiego (1883), *Branki w jasyrze* Deotymy (1889), *Trzy Legendy* Adama Fluga (1889). Ogromne powodzenie zyskały sobie również sporządzone przez niego w Paryżu w latach 1883–1886 ilustracje do: *Romea i Julii*, *Kupca Weneckiego* W. Szekspira, *Legendy wieków* W. Hugo oraz powieści Jamesa Fenimore Coopera *Ostatni Mohikanin*.

Po powrocie do kraju Andriolli zajmuje się malarstwem religijnym, jednocześnie nadsyłając do czasopism ilustrowane korespondencje z wycieczek krajowych i zagranicznych. W okresie aktywności zawodowej Michał Elwiro wykonał ok. 500 ilustracji do czasopism i sporządził ryciny do przeszło 60-ciu wydawnictw książkowych. Niektóre ilustracje książkowe jak np. do *Pana Tadeusza* są do dzisiaj wznawiane w nowych wydaniach tegoż dzieła<sup>47</sup>.

Innym wybitnym rysownikiem, którego humorystyczne obrazki często gościły na łamach „Kłosów” był absolwent Warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych – Franciszek Kostrzewski. Zasłynął on początkowo jako malarz sztalugowy. Jako ilustrator zadebiutował Kostrzewski w roku 1858, sporządzając litografię do zbiorowego wydania dzieł Wacława Szymanowskiego zatytułowanego *Szkice i obrazki*. W tym samym roku artysta rozpoczął współpracę z pismem satyrycznym „Wolne Żarty”, a w rok później z „Tygodnikiem Ilustrowanym”. Od roku 1865 Kostrzewski nawiązał również wieloletnią współpracę z „Kłosami”, wypełniając ich łamy głównie rysunkami humorystycznymi, opatrzonymi krótkimi dialogami. Humorystyczne cykle rysunkowe artysty, prześięknięte na wskroś społeczną satyrą, ukazują szeroką gamę najprzeróżniejszych typów ludzkich wraz z ich przywarami. Prócz ilustracji humorystycznych Kostrzewski dostarczał

<sup>45</sup> W. Rukóży: *Holewiński Józef*. W: *Słownik Pracowników Książki Polskiej*. Pod red. I. Treichel. Warszawa 1972, s. 337.

<sup>46</sup> B. Szyndler: *Tygodnik...*, s. 134.

<sup>47</sup> J. Wiercińska: *Andriolli Michał Elwiro*. W: *Słownik Pracowników Książki Polskiej*. Pod red. I. Treichel. Warszawa 1972, s. 12–13.



„Kłosom” szkice z życia powszedniego polskiej wsi, a także sceny rodzajowe przedstawiające obrzędy ludowe i kościelne jak również polowania<sup>48</sup>.

Ogromną popularnością jako ilustratorzy warszawskich czasopism cieszyli się również dwaj kolejni współpracownicy tygodnika ilustrowanego „Kłosy” bracia Henryk i Ksawery Pillati. Starszy Henryk kształcił się w latach 1845–1848 w Warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych, a następnie w Paryżu, Monachium i Rzymie. W roku 1878 został zmuszony do porzucenia działalności artystycznej wskutek zachorowania na nieuleczalną chorobę. Do tego momentu wspomagał on materiałem ilustracyjnym redakcję nie tylko „Kłosów”, ale i „Kółka Domowego”, „Przyjaciela Dzieci”, „Tygodnika Ilustrowanego”, „Wieśnica”, i „Wolnych Żartów”. Tematyka jego rysunków ogniskowała się wokół spraw życia codziennego, co sprawiało, iż miały one charakter rysowanych felietonów warszawskich. Ponadto H. Pillati tworzył wiele scen rodzajowych, typów i szkiców humorystycznych, a także ilustrował pomieszczane na łamach czasopism utwory literackie<sup>49</sup>.

Młodszy z braci Pillatich Ksawery, malarstwa, rysunku i ilustratorstwa uczył się, podobnie jak starszy brat, w Warszawie w Szkole Sztuk Pięknych w latach 1859–1864, a następnie w latach 1866–1868 w Szkole Rysunkowej oraz w latach 1868–1871 w Akademii Monachijskiej. Po powrocie do Warszawy poświęcił się on niemal całkowicie ilustratorstwu. Od roku 1878 K. Pillati był kierownikiem artystycznym „Tygodnika Powszechnego”. Prócz tegoż periodyka jego rysunki pojawiały się na łamach: „Kłosów”, „Biesiady Literackiej”, „Tygodnika Ilustrowanego”, „Wędrowca” i „Wolnych Żartów”. Ilustrował nie tylko utwory literackie, ale był również autorem zamieszczanych na łamach czasopism: portretów pisarzy, malarzy, artystów i uczonych, a także rysunków o charakterze aktualnym i reportażowym przedstawiających uroczystości, widowiska teatralne i wystawy. Pod koniec życia zajął się malarstwem, rysując już tylko sporadycznie.

Obydwaj bracia Pillati byli uważani za jednych z najzdolniejszych ilustratorów polskich II połowy XIX wieku<sup>50</sup>.

Lista ilustratorów współpracujących z tygodnikiem jest bardzo obszerna. Wymienienie wszystkich z dokładnym omówieniem przewodnich motywów ich twórczości jest rzeczą niemożliwą. Warto jednak zwrócić

uwagę na różnorodność tematyczną dostarczanych przez nich „Kłosom” materiałów ilustracyjnych z wyszczególnieniem kilku nazwisk twórców.

W twórczości portretowej na szczególną uwagę zasługują prace Józefa Buchbindera, który na potrzeby „Kłosów” wykonał m.in. portret Samuela Bogumiła Lindego (1871), a także Franciszka Tegazzo, którego 63 portrety ukazały się na łamach czasopisma. Na uwagę zasługują zwłaszcza jego kompozycje portretowe, ukazujące wybitnych polskich aktorów. Spośród nich warto wymienić dwie: *Królikowski Jan w 12 rolach* (1866) oraz *Modrzejewska Helena w różnych rolach* (1868)<sup>51</sup>.

Sceny historyczne znalazły odzwierciedlenie w twórczości m.in. Jana Moniuszki, syna słynnego kompozytora Stanisława, jak również Walerego Eliasza, który zasłynął jednakże bardziej jako twórca ilustrowanych reportaży ukazujących piękno Tatrzańskich szczytów.

Tematyka krajobrazowa dominowała w pracach Alfreda Schouppa ukazującego piękno Włoch jak i niektórych polskich miast takich jak: Elbląg, Poznań, Sandomierz czy Kraków. Ilustracje przedstawiające Kraków były również dziełem Władysława Sznera, który podobnie jak Karol Młodnicki uległ fascynacji folklorem huculskim, co znalazło wyraz w prezentowanych przez nich na łamach tygodnika ilustracjach.

Uroków wiejskiego życia można było zakosztować podziwiając w „Kłosach” rysunki Michała Pocięchy.

Ulice galicyjskich miasteczek ukazane w humorystycznej scenerii kwitnącego na nich życia były przewodnim motywem ilustracji sporządzanych przez Wojciecha Grabowskiego.

Urzeczony architekturą przemysłową Ludomir Franciszek Dymitrowicz był twórcą widoków i wnętrza fabryk, kopalń, a także rysunków ukazujących konstrukcję mostów.

Tematyka religijna stała się domeną ilustracji Jana Maszyńskiego.

Twórczość Włodzimierza Zamarajewa odznaczała się reportażowym charakterem prezentowanych przez niego, a godnych uwagi wydarzeń.

Ilustrowaniem utworów literatury pięknej publikowanych na łamach „Kłosów” zajmowali się: Henryk Piątkowski, Jan Konopacki i Stanisław Masłowski. Ponadto Konopacki wraz z Masłowskim dostarczali periodykowi wiele scen rodzajowych i portretów charakterologicznych.

Jak widać tematyka rysunków pomieszczanych na łamach tygodnika ilustrowanego „Kłosy” była ogromnie zróżnicowana. Niewątpliwie fakt ten

<sup>48</sup> B. Szyndler: *Tygodnik...*, s. 144–150.

<sup>49</sup> J. Wiercińska: *Pillati Henryk*. W: *Słownik Pracowników Książki Polskiej*. Pod red. I. Treichel. Warszawa 1972, s. 678.

<sup>50</sup> J. Wiercińska: *Pillati Ksawery*. W: *Słownik Pracowników Książki Polskiej*. Pod red. I. Treichel. Warszawa 1972, s. 678–679.

<sup>51</sup> B. Szyndler: *Tygodnik...*, s. 152, 154.



w znacznym stopniu wpływał na uatrakcyjnienie czasopisma, a także na podniesienie jego estetycznych i artystycznych walorów<sup>52</sup>.

Jak już wcześniej wspomniano materiał ilustracyjny do *Czasopisma Ilustrowanego Tygodniowego „Kłosa”* był dostarczany nie tylko przez rysowników, ale i przez malarzy. Drzeworytowe reprodukcje dzieł malarskich znajdowały się niemal w każdym numerze tygodnika.

Do najbardziej znanych współpracowników periodyka wywodzących się z kręgu malarzy należał Jan Matejko. W „Kłosach” znalazło się miejsce dla około 50-ciu reprodukcji jego obrazów i rysunków. Redakcja pisma utrzymywała stały kontakt z artystą, zamawiając u niego rysunki oraz informując na swych łamach o nowych dziełach, wystawach i sukcesach mistrza Jana.

Bliską twórczości Matejki tematykę uprawiał Wojciech Gerson. Jednakże w „Kłosach” pomieszczano głównie jego realistyczne sceny rodzajowe i pejzaże z Podhala, a nie słabe pod względem artystycznym obrazy o tematyce historycznej.

Hołdując dawnym staropolskim ideałom „Kłosa” bardzo chętnie zamieszczały na swych stronicach obrazy historyczne, będące apologią Rzeczypospolitej szlacheckiej i sarmackiego stylu życia. Tenże wizerunek artystyczny reprezentowali: Józef Brandt, Juliusz Kossak, Wierusz Alfred Kowalski, Aleksander Lesser i Józef Simmler.

Nurt przemijającego romantyzmu w malarstwie był reprezentowany w tygodniku przez takich mistrzów pędzla jak: Maurycy Gottlieb, Artur Grottger czy Alfred Schoupp.

Jednocześnie w periodyku bogato reprezentowane było również malarstwo nurtu realistycznego. Znalazło ono swoich wyznawców w osobach: Józefa Chełmońskiego, Maksymiliana i Aleksandra Gierymskich oraz Józefa Szermentowskiego.

W latach osiemdziesiątych XIX wieku, a więc w ostatnim dziesięcioleciu ukazywania się *Czasopisma Ilustrowanego Tygodniowego „Kłosa”* na jego łamach znalazły się obok reprodukcji obrazów malarstwa impresjonistycznego Juliana Fałata, Józefa Pankiewicza i Władysława Podkowińskiego, obrazy klasycystyczne pędzla Henryka Siemiradzkiego.

Swoistego rodzaju orientalizm reprezentował w swej twórczości – nadworny malarz sułtana Abdul-Aziza – Stanisław Chlebowski. Motywem przewodnim jego obrazów prezentowanych w tygodniku byli: Arabowie na koniach, Turczynki, a także sceny haremowe i widoki Konstantynopola.

<sup>52</sup> Tamże, s. 152-157.

Kilka prac zamieścił w tygodniku Jan Styka, późniejszy współautor słynnej *Panoramy Racławickiej*. W roku 1883 ukazał się jego rysunkowy reportaż zatytułowany *Pogrzeb Józefa Szujskiego*, następnie w roku 1884 kompozycje przedstawiające *Lillę Wenedę* z poematu Juliusza Słowackiego pod tym tytułem, a także *Głowę Chrystusa*<sup>53</sup>.

Zgoda odrębną kategorię współpracowników tygodnika ilustrowanego „Kłosa”, niż drzeworytnicy, rysownicy i malarze, stanowili ludzie posługujący się piórem jako środkiem wyrazu. Chodzi tutaj głównie o pisarzy i poetów, a także znawców problematyki społecznej i specjalistów reprezentujących różne dziedziny wiedzy. Współpracownicy ci mieli zapewnić pismu wysoki poziom zamieszczanych na jego łamach tekstów, które w swojej wymowie musiały zgadzać się z programem ideowym tygodnika<sup>54</sup>. Niektórzy ze współpracowników wspomagających „Kłosa” byli już wymienieni w tym rozdziale przy okazji omawiania prac komitetu redakcyjnego tygodnika.

Ze względu na to, iż w kolejnych rozdziałach pracy szerzej omawiane będą zagadnienia związane z literaturą polską i jej krytyką na łamach „Kłosów”, zrezygnowano tutaj z prezentacji sylwetek pisarzy współpracujących z periodykiem, zwłaszcza, że bardzo często ich współpraca z pismem ograniczała się tylko i wyłącznie do publikacji w nim swoich utworów, bądź przekładów literatury powszechnej. Warto może jedynie w tym miejscu zaznaczyć, iż spośród pisarzy związanych z „Kłosami” swój debiut poetycki na stronicach tegoż periodyka zanotował m.in. Jan Kasprzowicz w roku 1882<sup>55</sup>.

Na osobną uwagę zasługują zaś korespondenci pisma, których ze względu na to, skąd nadsyłali swoje relacje można podzielić na korespondentów krajowych i zagranicznych.

Współpraca z pismem nie ograniczała się tylko do publikacji utworów literackich, ale i korespondencji zagranicznej pomieszczanej w „Kłosach” w przypadku najpopularniejszego ówczesnego pisarza i publicysty J. I. Kraszewskiego. O współpracę z nim zabiegało wiele redakcji warszawskich pism. Do pisarza o prawo publikowania jego utworów zwracały się prócz dzienników i tygodników kulturalnych również pisma rolnicze i lekarskie<sup>56</sup>. „Kłosa” początkowo co 2 tygodnie, później zaś raz w miesiącu zamieszczały obszernie omówienia aktualnych wydarzeń z dziedziny

<sup>53</sup> Tamże, s. 157-162.

<sup>54</sup> B. Schnaydrowa: *Fragmenty...*, s. 77.

<sup>55</sup> H. Markiewicz: *Pozytywizm...*, s. 27.

<sup>56</sup> Z. Kmiecik: *Prasa...*, s. 27.

nauki, literatury, sztuki, księgarstwa i polityki, zamieszkałego w Dreźnie od roku 1863 pisarza. W roku 1865 korespondencje Kraszewskiego drukowane były w tygodniku w rubryce zatytułowanej *Z Drezna*. W roku 1867 poczęły się one ukazywać jako *Kronika zagraniczna, literacka, artystyczna i naukowa*, by jeszcze w marcu tegoż roku w numeru 88 zmienić nazwę na *Listy J. I. Kraszewskiego*. Pod tym też tytułem korespondencje pisarza ukazywały się, aż do jego śmierci w roku 1887. W swoich listach Kraszewski informował czytelników o sukcesach i osiągnięciach polskich artystów poza granicami kraju. Prezentował tutaj również nowości rynku księgarskiego zarówno krajowego jak i zagranicznego. Żadna ciekawa książka, większa impreza księgarska, aukcja antykwareczna czy wystawa poświęcona książce nie uchodziła jego uwadze<sup>57</sup>.

Do długoletnich współpracowników „Kłosów” należał czeski pisarz i bibliograf Edward Jelinek nadsyłający korespondencję z Czech w j. polskim. Propagował on na łamach tygodnika historię, kulturę i literaturę czeską. Poświęcając również wiele miejsca czeskim tłumaczom literatury polskiej informował na bieżąco o ich pracy i publikacjach nowych przekładów<sup>58</sup>.

Z Paryża korespondencje nadsyłali: powieściopisarz i publicysta Teodor Tomasz Jeż oraz antropolog i lekarz Tadeusz Żuliński, z Wiednia zaś inżynier Władysław Szawelski<sup>59</sup>.

Ponadto w piśmie ukazywały się listy m.in. z: Brukseli, Nancy, Londynu, Rzymu, Wenecji, Lozanny, Karlsbadu czy Rygi. Autorami ich byli stali współpracownicy, bądź też czytelnicy „Kłosów”. Warto nadmienić, iż niektóre korespondencje zagraniczne były pisane przez ludzi przebywających stale na obczyźnie jak np. J. I. Kraszewski (Drezno) czy Seweryna Duchińska (Paryż), inne zaś jak korespondencje z Karlsbadu Anieli Tripplinówny czy listy wakacyjne z Londynu Henryka Struvego, były wynikiem przeżyć inspirowanych podróżami zagranicznymi autorów<sup>60</sup>.

*Czasopismo Ilustrowane Tygodniowe „Kłosy”* posiadało także wielu korespondentów krajowych, pisujących do periodyka z różnych polskich miast podzielonego zaborami kraju, w tym m.in. z: Poznania, Lwowa czy Krakowa. Listy te często były anonimowe, bądź podpisane inicjałami. Wiadomo, iż autorami kronik krakowskich byli: podpisujący się

pseudonimem Gerwazy – Lucjan Siemieński oraz znakomity archeolog, a zarazem profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego – Józef Łepkowski.

Ze znanych korespondentów lwowskich na wyróżnienie zasługują: Aureli Urbański opracowujący dla „Kłosów” głównie wiadomości teatralne oraz kronikarz Lwowa i Galicji Władysław Zawadzki, opisujący piękno zabytków Lwowa, a także biografie żyjących w tym mieście wybitnych literatów i osobistości<sup>1</sup>.

Nadrzędnym zadaniem rozdziału zatytułowanego *W kręgu twórców „Kłosów”* było przybliżenie sylwetek wydawcy, redaktorów, uczonych, rytowników, artystów malarzy i rysowników, a także wszelkiej maści ludzi pióra związanych z czasopiśmem. Periodyk ten ukazując się na przełomie 25 lat podjął współpracę z: 463 pisarzami, 260 malarzami i rysownikami, 35 rytownikami, 34 rzeźbiarzami oraz 11 muzykami<sup>2</sup>. Ze względu więc na mnogość nazwisk współtwórców graficznego, artystycznego i treściowego wizerunku pisma prezentacja portretów ich wszystkich jest rzeczą niemożliwą.

<sup>57</sup> B. Szyndler: *Tygodnik...*, s. 49-50.

<sup>58</sup> Tamże, s. 73, 76.

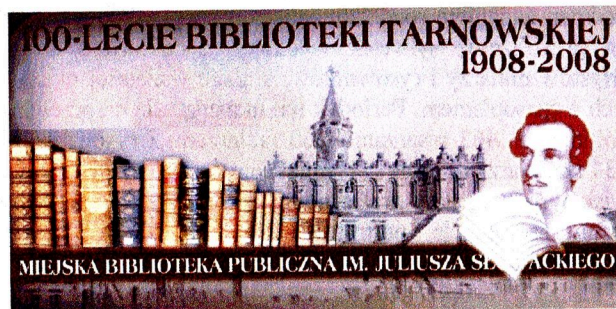
<sup>59</sup> B. Schnaydrowa: *Fragmenty...*, s. 86.

<sup>60</sup> B. Szyndler: *Tygodnik...*, s. 86.

<sup>1</sup> B. Schnaydrowa: *Fragmenty...*, s. 87 - 88

<sup>2</sup> S. Lewental: *Kartka z historii „Kłosów”*, „Kłosy” 1890, nr 1304, s. 405 - 406

# WARTO WIEDZIEĆ



## MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA

*im. Juliusza Słowackiego w Tarnobrzegu*

jest placówką, której korzenie sięgają początku XX wieku. Staraniem świątliwych Tarnobrzegian - 7 listopada 1908 roku - otwarto bibliotekę jako ogólnodostępną placówkę literacko-naukową, gromadzącą dzieła z różnych dziedzin wiedzy. W chwili otwarcia księgozbiór liczył 2.700 tomów; dziś są to zbiory książek, czasopism, kolekcji i zbiorów specjalnych, z których poprzez sieć działów i fili korzysta rocznie 36 tysięcy osób zarejestrowanych w wypożyczalniach oraz 42 tys. osób odwiedzających czytelnice. Dziennie korzysta z działów i filii MBP ok. 1200 osób /.../

/fragm. Ze strony internetowej MBP/

## OBCHODY ROKU JUBILEUSZOWEGO

Miejskiej Biblioteki Publicznej im. J. Słowackiego w Tarnobrzegu  
W ciągu całego roku 2008 prezentowane będą jubileuszowe wystawy związane tematycznie z patronem Biblioteki, historią, nowymi wyzwaniami  
Organizowane będą jubileuszowe konkursy dla czytelników.  
m.in.:

- "MBP we wspomnieniach czytelników" - konkurs tekstowy dla dorosłych i młodzieży. Najlepsze prace zostaną wydrukowane w zwartej publikacji lub w formie artykułów w gazetach;
- "Rówieśnicy MBP" - konkurs dla młodzieży na prezentację w formie opisu, fotografii, ilustracji wybranego wydarzenia z dziedziny kultury, literatury, sportu, i inn. - które podobnie jak MBP liczy 100 lat. -
- "Biblioteka niczym ogród" - 100 cytatów o bibliotece, książce, czytaniu - wymyślają czytelnicy i dostarczają do MBP - ogłoszenie styczeń. Zebrane cytaty zostaną wydane drukiem.
- "Fraszki o bibliotece" - konkurs literacki - Filia Nr 3, ogłoszenie: wrzesień

Z okazji Jubileuszu przygotowywane są publikacje:

- Monografia: "Miejska Biblioteka Publiczna im. J. Słowackiego w Tarnobrzegu 1908- 2008" w oprac. A. Sypka
- Bibliografia Miasta Tarnobrzega 2005 -2007" - dziesiąty tom
- Katalog Starych Druków.
- Listy Zygmunta Krasińskiego ( ze Zbiorów MBP) na CD.
- Jubileuszowy numer "Aspiracji. Magazynu Literackiego Młodych"

Pełna informacja : [www.biblioteka.tarnobrzeg.pl](http://www.biblioteka.tarnobrzeg.pl)



## SPIS TREŚCI

Wstęp – Redaktor Kajetan Cierń s. 3-4

### POEZJA

**Izabela Iwańczuk s. 5-6**

„Z Tobą” „Letni” \*\*\* „pijemy wodę...” „Atrybuty”

\*\*\* „Całujemy noc” \*\*\* „Nie było Ciebie tam...” „Dom poety”

**Zbigniew Mirosławski 7-9**

\*\*\* „Naturalnie ułomne...” \*\*\* „Pod mostem Hungerford...”

**Zuzanna Abrysowska 10-12**

„Ramadan” „Maroko” „W przeszłość” „Różne oblicza piękna” „Kiczowaty dramat”

**Mariusz Mitera 13**

\*\*\* „gotycka...” \*\*\* „opętanie” „2 pi r”

**Urszula Banaś 14**

„Ćmy i wampiry”

**Michał Piętniewicz 15**

„Preludium do głosu”

**Maciej Smagacz 16**

„Jutro rano”

**Monika Chytróś 16**

„Przyjaciele?”

**Lidia Szafrńska 17**

„Mowna struktura zwyczaju”

**Beata Korabiowska-Żyrkowska 18**

\*\*\* „Cisza”

**Gabriela Dulian 18-19**

„Kolor” „Do Mistrza”

**Dariusz Romanowski 20-21**

„Do kolejnych strof” „Nie jestem poetą w domu swoim”

### P R O Z A

**Ewelina Kałucka 23-43**

„Czerwony tulipan”

**Jerzy Reuter 44-55**

„Fermentacja”

**Zbigniew Mirosławski 56-65**

„Dzień za dniem”. Odcinek 14

**Dariusz Romanowski 66**

„W kręgu twórców “Kłosów” “.

**WARTO WIEDZIEĆ** : s.94-95

**100-LECIE BIBLIOTEKI TARNOWSKIEJ 1908-2008**